Nr. 4. Kraków, 15 Lutego 1892 r. Rok II.

MYŚL

Dwutygodnik literacko-społeczny i Dodatek ekonomiczno-przemysłowy.

STATYSTYKA KRAJOWA.

Krajowe biuro statystyczne przy Wydziale krajowym, pozostające pod kierownictwem profesora dra Tadeusza Pilata, zajmuje się obecnie opracowaniem kilku dalszych publikacyj statystycznych. Mianowicie w toku są następujące prace:

Handel Galicyi i innych krajów austryackich z Niemcami na podstawie statystyki ruchu towarowego na kolejach niemieckich. Dalszą pracą będzie kwestya uprawy tytoniu w Galicyi; wreszcie statystyka szkół ludowych w Galicyi.

W ciągu roku 1891 przybyła dla krajowego biura statystycznego nowa czynność, nie zostająca w bezpośrednim związku ze statystyką, lecz ze względów praktycznych tutaj przydzielona, a mianowicie ewidencya taryf kolejowych. W myśl uchwał sejmowych, zalecających Wydziałowi bliższe zajęcie się sprawami kolejowemi, postanowił Wydział krajowy urządzić sekcyę dla taryf kolejowych przy biurze statystycznem, a chcąc w pierwszym rzędzie zyskać szczegółową podstawę do akcyi, mającej na celu popieranie interesów krajowej produkcyi i handlu krajowego na polu polityki taryfowej, uchwalił na wniosek prof. dra T. Pilata, urządzić stałą ewidencyę wszystkich taryf kolejowych, odnoszących się bezpośreśrednio lub pośrednio (jako taryfy konkurencyjne) do Galicyi. Za zezwoleniem generalnej dyrekcyi kolei państwowych, jeden z urzędników jej biura taryfowego przybył do Lwowa, urządził i uporządkował zbiór taryf oraz wyuczył aplikanta konceptowego Wydziału krajowego p. Gaszyńskiego, wyszukiwania i obliczania taryf i utrzymywania zbioru w ewidencyi.

Biuro statystyki przemysłu i handlu przy Wydziale krajowym, pozostające pod kierownictwem posła dra Tadeusza Rutowskiego ukończyło rocznik III statystyki Galicyi za lata 1889--1890. W obec aktualności sprawy została również podjętą na nowo statystyka handlu wywozowego z Galicyi do Wiednia, a mianowicie dowozu bydła, mięsa, drobiu, wyrobów mięsnych i mleczarskich, cen targowych i t. d. Praca ta pod tytułem: „*Targowica wiedeńska i dowóz z Galicyi*“ będzie przedstawioną Sejmowi na najbliższej sesyi.

Z badań stanu przemysłowego w kraju, ogłoszone zostaną działy przemysłu: tkackiego, garncarskiego i metalowego.

Bardzo znacznie postąpiła archiwalna praca nad działem pod tyt: „*Galicya w budżecie państwa od roku 1772*“, oparta na urzędowych źródłach. Ogrom materyału, rozrzuconego po kilku archiwach, jak archiwum tajne dworu i państwa, archiwum ministerstwa spraw wewnętrznych, finansów, nie mógł być opracowany w krótszym czasie. Nowsze czasy od roku 1830 są już przeważnie zestawione na kilkudziesięciu tablicach.

Również bogaty materyał został zebrany i wiele działów jest przygotowanych do pracy, objętej programem kraj. komisyi statystycznej pod tyt: „*Statystyka Galicyi*“, metodą historyczno-statystyczną i porównawczą.

Biuro statystyczne przystąpi również do samodzielnej statystyki ruchu kolejowego, która jedynie może dać najbardziej do prawdy zbliżone pojęcia o przywozie i wywozie, więc bilansie handlowym Galicyi. Jak długo koleje były prywatne, nie podobna było otrzymać materyałów statystycznych, gdyż dyrekcye obawiały się, żeby wiadomości zebrane nie zostały użyte w celach walki o taryfy. Jest nadzieja, że obecnie Wydział krajowy będzie mógł otrzymać do zużytkowania bogaty materyał statystyki kolejowej, a opracowanie tak ważnego działu statystyki krajowej będzie zależeć tylko od tego, czy biuro będzie miało dostateczną liczbę sił pomocniczych, zwłaszcza rachunkowych. — Oprócz powyżej wymienionych większych prac statystycznych, zamierza krajowe biuro statystystyczne wydać krótki, źródłowy, opisowo-tabelaryczny podręcznik statystyki Galicyi, rodzaj *vade mecum*, obejmującego wszystkie wiadomości statystyczne o stosunkach kolejowych, krótko zebrane.

W końcu jest w toku praca pod tyt: „*Finanse Galicyi*“, obejmująca nasz kraj w budżecie państwa, budżet krajowy, budżety powiatowe, gminne, oraz inne fundusze.

NASZE INSTYTUCYE FINANSOWE.

II.

Powiatowa Kasa Oszczędności w Krakowie.

Podnieśliśmy w poprzednim artykule znaczenie kas oszczędności i wpływ ich na ekonomiczny oraz polityczny rozwój społeczeństwa. Ale z natury rzeczy wynika, że centralizowanie instytucyj finansowych w dwóch wielkich miastach na dwóch końcach kraju, wpływ ten do pewnego stopnia ogranicza do miast samych i ich najbliższej okolicy. Jeżeli więc społeczeństwo nasze ma się ekonomicznie zdrowo rozwijać, nie tylko w dwóch ogniskach wielkich miast, ale w kraju całym, to po całym kraju powinny być rozsiane instytucye, któreby udzielaniem kredytu przemysł i handel do życia budziły, wzmacniały i ruch społeczno-ekonomiczny wszędzie równomiernie wytwarzały.

Zrozumiały to zadanie instytucye autonomiczne — nasze Rady powiatowe. Mając pod względem prawno-politycznym przekazany sobie bardzo szczupły zakres działania, zwróciły uwagę na ekonomiczne sprawy powiatu. Ileż ich było do rozwinięcia i przeprowadzenia po wiekowem zaniedbaniu i długoletniem przez poprzednie rządy tłumieniu i niszczeniu! Rolnik, zgnębiony przez lichwiarza, który żąda zwrotu kapitału z procentem 20 prc., 30% i więcej lub wydania na publiczną sprzedaż ziemi, przynoszącej jedynie 5 do 10 prc. dochodu — opuszcza posiadłość, na której wyrósł on sam, jego ojciec, dziad i pradziad. Do dworów ziemian, pod strzechy włościan wciska się żywioł nowy, społeczeństwu w dużej części obcy, wysilający się na to, aby rabunkowem gospodarstwem ziemię zniszczyć, ludność zubożyć. Wyszukanie i wytworzenie uczciwego i taniego kredytu hipotecznego, było wobec takich stosunków pierwszą myślą, jaka się instytucyom autonomicznym nasunąć musiała. Towarzystwo kredytowe, przeznaczone dla własności wielkiej, nie mogło zadość uczynić potrzebom własności małej — włościańskiej a tę przedewszystkiem i jak najprędzej w opiekę brać należało. Wzorów daleko szukać nie było potrzeby. Kasy oszczędności we Lwowie i Krakowie tak wielkie usługi obu miastom oddały kredytem hipotecznym, że nikt powątpiewać nie mógł, iż te same usługi włościańskiej własności oddadzą powiatowe Kasy oszczędności.

Te wszystkie przyczyny wywołały potrzebę założenia dla powiatu krakowskiego Kasy oszczędności, którаby pod bezpośrednim zarządem Wydziału Rady powiatowej zostając, uwzględnienie i zaspokojenie potrzeb włościan miała za cel główny i niemal jedyny. W dniu 1 lipca 1882 r., a więc niespełna przed laty dziesięciu założona, z końcem roku 1890 wykazuje w bilansie przeszło półtora miliona wkładek, z których przeszło 870 tysięcy użyto na udzielenie kredytu hipotecznego. Korzystają z kredytu i gminy całe, wykazane w bilansie z kwotą 16.083 złr., udzieloną na skrypta gminne. I krótki kredyt zaspakaja swoje pragnienie u źródeł kasy, której eskont weksli w jednym roku 1890 wynosi kolosalną sumę 2,212.585 złr. Przy obrocie kasowym 14 mil. 424.622 złr. w. a. osiągnęła kasa w roku 1890 czysty zysk 11.183 złr. 14 ct. wynoszący, który przeniesiono do funduszu rezerwowego, przedstawiającego już sumę 61.746 złr. w. a.

Z powiatu zyski czerpiąc, zwraca je kasa napowrót powiatowi; oto co na podstawie § 7 statutu przeznaczono w roku 1890 z funduszu rezerwowego na użyteczne cele powiatu: a) na cele Kółek rolniczych powiatu krakowskiego 1000 złr., b) na popieranie nauki zręczności w szkołach ludowych powiatu krakowskiego 300 złr., c) dla Towa-

rzystwa oświaty ludowej z zastrzeżeniem użycia w powiecie krakowskim 200 złr.; d) na fundusz subwencyonowania hodowli drzew w powiecie krakowskim 100 złr. Zbyteczna dodawać, że inwestycye te zwiększać się będą co roku, bo nie wątpimy, że obroty i zyski tak umiejętnie prowadzonej kasy corocznie będą się potęgowały.

Powodzenie i powaga każdej instytucyi zależą, jak wiadomo, w znacznej mierze od jej głównego kierownika. Na czele kasy powiatowej stoi. p. Sobiesław Gawroński; który w czasie długoletniej działalności zdołał pozyskać sobie nietylko głęboki szacunek i poważanie w kołach mieszczańskich i ziemiańskich, ale również prawdziwie ojcowską wyrozumiałością i szczerem interesowaniem się dobrem włościan, potrafił rozbudzić w ludziach wiarę w dobrodziejstwa kasy, zaskarbić sobie bezwzględne jego zaufanie, a tem samem dorzucić cegiełkę do wielkiej budowy: materyalnego podniesienia naszych włościan. Jest to zasługa rzetelna i duża.

DWUTYGODNIK EKONOMICZNY.

*** W dniu 15 bm. upływa termin licytacyi, rozpisanej przez krakowskie Towarzystwo ubezpieczeń na dzierżawę dóbr podhajeckich.

*** Na mocy rozporządzenia ministerstwa handlu, przedsięwzięte zostały badania trasy dla projektu budowy kolei żelaznej ze Stryja na Chodorów-Rohatyn-Brzeżany do Tarnopola, przyczem zaprojektowanym został dworzec „Rohatyn“ o 4 kilometry na południe od tego miasta. Wskutek tego rada gminna m. Rohatyna wysłała deputacyę do jeneralnej dyrekcyi kolei państwowych, tudzież do ministerstwa handlu i wojny z prośbą o zmianę trasy tej linii kolejowej w ten sposób, ażeby poprowadzoną została zachodnią stroną stawu Psarskiego ku Podkamieniowi i Rohatynowi, i aby dworzec wypadł na północ od Rohatyna, bliżej miasta. Deputacya otrzymała przyrzeczenie, iż życzeniom miasta co do umieszczenia dworca kolejowego stanie się zadość i że proponowany przez nią kierunek trasy o ile możności zostanie uwzględnionym.

Wydział powiatowy rohatyński wychodząc z założenia, iż trasa, proponowana przez gminę miasta Rohatyna, najlepiej odpowiada nietylko interesom miasta Rohatyna, lecz także interesom całego powiatu, odniósł się z prośbą do Wydziału krajowego o poparcie tej sprawy u rządu. Wydział krajowy, uwzględniając słuszne życzenia powiatu rohatyńskiego, odniósł się obecnie z przedstawieniem do Namiestnictwa, podnosząc, iż trasa proponowana przez wydział powiatowy, obsługiwałaby w istocie liczne miejscowości północnej strony powiatu, obfitującej w lasy, kamieniołomy, wapienniki, gipsownie, młyny i gorzelnie. Ta okolica powiatu, najwięcej oddalona od kolei lwowsko-czerniowieckiej, przerzynającej część południową powiatu i pozbawiona dojazdów do tejże kolei, nie miałaby — zdaniem Wydziału krajowego — prawie żadnego pożytku z trasy przez rząd projektowanej, której kierunek jest do kierunku istniejącej kolei zbliżony; podczas gdy południowa część powiatu, korzystając już z istniejącej kolei, nie ucierpiałaby na przesunięciu na północ trasy, przez rząd projektowanej. Wreszcie co do miejscowości, leżących przy trasie rządowej między Chodorowem a Rohatynem, oświadczył Wydział krajowy, że takowe znajdą w budującej się pod opieką Wydziału krajowego, a sąsiadującej z pomienioną trasą kolejową, drodze z Chodorowa do Rohatyna, dojazdy do kolei tak w stronę Chodorowa, jak Rohatyna, co wobec znanych powszechnie złych komunikacyj w tamtejszej okolicy uważanem być może za dostateczne zaopatrzenie tych miejscowości w środki służące do transportu.

Z powyższych względów Wydział krajowy popiera w zasadzie kierunek przez Wydział powiatowy rohatyński proponowany. Gdyby atoli warunki topograficzne tego kierunku nie odpowiedziały wymogom technicznej natury, przez rząd dla tej kolei z góry zakreślonym, to — zdaniem Wydziału krajowego — w trasie rządowej należałoby przeprowadzić tę zmianę, ażeby odległość między stacyą kolejową rohatyńską a środkiem miasta Rohatyna była o ile możności skróconą do połowy projektowanej przez rząd odległości.

*** **Czytamy** w „Gaz. kolejowej“: Obowiązującą moc w stosunkach ościennych z państwami, które traktaty zawarły, ma §. 15 nowego traktatu handlowego, orzekający, iż nie wolno faworyzować jednej miejscowości ze szkodą drugiej, oraz że nie śmie nastąpić po jednej stronie zniżka cen przewozowych, jeśli tego samego nie uczyniła i druga strona. Z natury rzeczy by tedy wypływało, że to samo postanowienie, które słusznie obowiązuje na zewnątrz, powinnoby też obowiązywać w ruchu wewnętrznym państwa naszego. Tymczasem rzecz się ma inaczej, przez co biedny kraj narażony jest na dotkliwe straty.

Rzut oka na galicyjsko-austryacko-czeską taryfę w ruchu wspólnym pouczy nas, że niemniej jak 6 taryf wyjątkowych ustanowiono dla przesyłek z Czech, Moraw i Śląska do Galicyi ze znaczną zniżką cen przewozowych, podczas gdy za te same artykuły z Galicyi do tych samych miejscowości w Czechach, Morawach i Śląsku znacznie wyższe przewoźne płacić się musi, i tak:

1) Za przewóz 10.000 kg. machin gospodarczych z Pilzna do Kołomyi opłaca się 218 złr. 70 ct., z Kołomyi do Pilzna opłaca się 319 złr. 90 ct.

Przytoczyliśmy ten przykład, albowiem w okolicach Kołomyi istnieje fabryka maszyn.

2) Za przewóz 10.000 kg. kwasu siarkowego z Pilzna do Gorlic opłaca się 181 złr. 70 ct., z Gorlic do Pilzna opłaca się 234 złr. 70 ct.

Jak wiadomo istnieje w Gorlicach znaczna fabryka kwasu siarkowego.

3) Za przewóz 10.000 flaszek z Pilzna do Tarnowa 171 złr. 40 ct., z Tarnowa do Pilzna 216 złr. 20 ct.

Przytoczyćbyśmy mogli o wiele większą ilość przykładów jaskrawszych, ograniczyliśmy się jednak do tych trzech przykładów, albowiem w miejscowościach wspomnianych znajdują się te same fabryki.

Cyfry powyższe wymowniej więc nad wszelkie dowody rzecz w należytem świetle przedstawiają.

Jakżeż ma się u nas rozwinąć przemysł fabryczny, skoro koleje występują jako konkurenci przez zniżanie cen przewozu o 30 do 40 pr.?

Sądzimy, że nowy prezydent zapewne nie omieszka wglądnąć w tę rzecz i usunie natychmiast przytoczone anomalie.

*** Zwracamy uwagę tutejszej Rady miejskiej na wydaną niedawno temu nową taryfę w bezpośrednim ruchu osobowym z Galicyi na Kraków do Wiednia.

Taryfa w mowie będąca jest tak „po mistrzowsku“ ułożona, aby cały ruch obcych skierować ku Wiedniowi i nie zezwolić na to, aby podróżny wstąpił po drodze do Krakowa, zastrzeżono bowiem, że jadący za taką kartą nie śmie podróży przerwać, ceny zaś jazdy ze Lwowa, Jarosławia i Przemyśla do Wiednia, obliczono o 30% w stosunku do cen z Krakowa do Wiednia.

Że takie forytowanie jednego miasta, może bardzo zgubnie oddziałać na rozwój i dobrobyt naszego grodu, nie potrzeba chyba długo udowadniać; to też w interesie miasta naszego odzywamy się do Rady miejskiej, aby zechciała się upomnieć w c. k. generalnej dyrekcyi państw. w Wiedniu o swe prawa.

*** **Towarzystwo kredytowe** ziemskie we we Lwowie obchodzić będzie 29 bm. 50-letni jubileusz istnienia.

*** **Budżet m. Krakowa** na r. b. zamyka się wyjątkowo bez deficytu, gdyż wydatki i dochody równoważą się w sumie 770.145 zł.

Zagadki, łamigłówki i rozrywki naukowe.

Rozwiązanie łamigłówki, umieszczonej w Nrze 3 „Myśli“.

Rozwiązanie łamigłówki, umieszczonej w dodatku do 3go numeru „Myśli“: *Rabulista*

1. Rawa
2. Adjutant
3. Bies
4. Unici
5. Lul
6. Impromptu
7. Samolub
8. Tablica
9. Aster.

Dobre rozwiązanie nadesłali: pp. Janusz Kański z Kr. (otrzymał nagrodę), pani Róża E. z Poznania i Janina T. z Rzeszowa.

ZAGADKA.

Pierwsze zgłoski z góry na dół przeczytane, a ostatnie z dołu w górę, dadzą nam nazwiska dwóch osób już nieżyjących, z których pierwszą zasztyletowano w Warszawie; druga zaś, zostanie nam długo w pamięci, gdyż nietaktownością swoją stała się wielu nieszczęść przyczyną.

1. Mieszkańcy to pewnej wyspy; jeżeli chcesz [ich poznać,
I jak ostre mają zęby, na sobie może doznać,
Popłyń aż do Cooka cieśniny:
Zjedzą cię zamiast baraniny.
2. Do igieł służyć ten przedmiot ma,
Chociaż nie każdy o niego dba.
3. Ozdobą naszej bezsprzecznie, jest on twarzy,
Czasem piękny, czasem brzydki, jak się zdarzy;
Jeżeli go się przypadkiem kto pozbędzie,
To na przyprawiony może się zdobędzie.
4. W Besarabii, przez Suwarowa zdobyte, leży,
Że było kiedyś znaczne, nie każdy dziś u- [wierzy;
Losu Pragi doznało! — bo to zwyczaj jest [mongolski.
W pień wycinać nie sam tylko żywioł polski.
5. Z Indyi wschodnich sprowadzone,
W mleku. w wodzie uwarzone,

Nr. 4. Kraków, 15 Lutego 1892 r. Rok II.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

OD REDAKCYI.

W jednym z następnych numerów „MYŚLI“ rozpoczniemy w odcinku druk najnowszej powieści znakomitego pisarza Sewera pod tyt.: „Uczciwa kobieta“. — Z powodów od nas zupełnie niezależnych — odłożyć musimy na czas pewien druk drugiego tomu utworu Graybnera pt. „Mamin Synek“, dając w zamian w dodatku głośną powieść Kiellanda pt. „Śnieg“. Wkrótce też, obok dokończenia „Maminego Synka“, zaczniemy drukować przekład najnowszej pracy Emila Zoli pt.: „Wojna“.

WIEC MOSKALOFILÓW.

Moskalofilscy przewodnicy umieją zawsze tak sformułować swoje poglądy, że na pierwszy rzut oka wydaje się, że niby to oni na prawdę stoją na gruncie historycznym, i czynią według „tradycyj historycznych“, ale przyjrzawszy się bliżej, przekonasz się, że z każdego słowa odzywa się nieprawda historyczna i szachrajstwo, obliczone na obałamucenie nieświadomych.

„Prawda“, miesięcznik rusko-ukraiński, zeszyt za grudzień 1891 r.

Na czele niniejszego sprawozdania i uwag położyliśmy umyślnie jako motto, ustęp z *Prawdy*, organu narodowców ruskich, którzy reprezentują dążności istotnej Rusi, pragnącej wolności, nie życzącej źle Polsce, o ile ta okaże się nawzajem tolerancyjną i sprawiedliwą — a położyliśmy, bo przytoczony ustęp znakomicie charakteryzuje naturę moskalofilską.

Prawdziwości słów powołanego organu dowiódł odbyty we Lwowie wiec, zwołany przez klikę moskalofilską. Jakkolwiek wiec nazwany został ogólnym narodowym ruskim, takim jednak nie był stanowczo. Była to demonstracya, urządzona dla czujnych agentów Moskwy, dla komitetu słowiańskiego dobroczynnego, czyli raczej panslawistycznego i nakoniec dla tego, ażeby dłużej można bałamucić w pewnych okolicach lud ruski, na który, przy szczerze narodowej pracy narodowców Rusinów — tracą moskalofile wpływ wszelki.

Wiec ten, to niezmiernie smutny objaw, poniżający prostą uczciwość ludzką; to objaw zaślepienia i wyzucia się z godności narodowej. Zdawało się tym panom, istotnym narzędziom w ręku agencyi moskiewskiej, że w polityce dozwolone jest wszelkie kłamstwo i oszukaństwo; zdawało się im, że są dyplomatami, że oszukują z jednej strony Austryę a z drugiej lud własny. Austryę udaną lojalnością oszukać chcieli, a lud zmyślaniem gorliwości o jego dobro.

Pod tymi płaszczykami postanowili z jednej strony zabezpieczyć sobie grunt do dalszego wichrzycielstwa wbrew interesom kraju i państwa, a z drugiej doprowadzić do tak zwanego *wozsojedinienja* (zjednoczenia) mieszkańców Rusi halickiej z *wielko-russkim* czyli moskiewskim narodem i carstwem.

Począwszy od języka, którym odzywali się przewódcy wiecu — języka, którego lud ruski w Galicyi nie rozumie, a któren nie jest także rosyjskim, lecz jakąś karykaturą, słusznie przez narodowców Rusinów przezwaną „tarabarszczyną“ i jazyczием nieokreślonem; owoż począwszy od takiego jazyczia a skończywszy na hasłach, wszystko skierowane było ku temu, by przekonać obałamuconych już ludzi i lud, że Ruś galicyjska powinna dążyć do jedynego *obszczawo literaturnawo jazyka ruskawo,* to jest do „powszechnego literackiego języka rosyjskiego“.

Spojrzyjmy na samą treść obrad — jeśli się godzi tak nazwać wygłaszanie mów przez upatrzonych z góry a spychanie z trybuny tych, którzy mogli być niewygodni i nieostrożni. Mowcy dopuszczali się co chwila niekonsekwencyi, jeden drugiego denuncyował niechcący; co jeden mówił o lojalności dla Austryi, temu w tej chwili zaprzeczał osobnik nabechtany już przedtem ideałem *wozsojedinienja* z matuszką Moskwą.

Zagajał wiec p. Didyckij, znany od dawna z dążności *pryklonenja* się czyli chylenia do Rosyi i uznający tylko język moskiewski za literacki a poczytujący język swego narodu za język pastuchów. Słodko mówił ową *tarabarszczyną,* ową mięszaniną z moskiewska-cerkiewno-pastuszą, gdyż z konieczności musiał mieszać i wyrazy owej pogardzanej mowy ludu przezeń ukochanego(!)

Po tej przemowie wybrano przewodniczącym ks. Pawlikowa, który nie lepszym mówił językiem. Osnową mowy przewodniczącego były zapewnienia o lojalności, były żale na narodowców, było nareszcie trochę obłudy względem Polaków.

Później nastąpiły sceny, dla których odmalowania potrzebaby pióra Zoli, lub innego naturalisty nowoczesnego. Krzyk, wyzywania, łajanie narodowców, okrzyki „sławno“ na każde skinienie prowodyrów i aranżerów i t. d.

Gromem oklasków powitali agitatorowie dra Antoniewicza, jako jednego z wybitnych reprezentantów *wozsojedinienja* z Moskwą i jako wielbiciela *obszcze russkawo literaturnaho* języka. Według wyznania dra Antoniewicza, Rusini są tylko cząstką wielkiego narodu wielkoruskiego, tęsknią do tego zjednoczenia i t. p., a dopiero przed chwilą zapewniał ks. Pawlikow, że klika staro-*russkaja* nie dąży do Moskwy.

Co tu prawdą? Chyba słowa p. Antoniewicza, bo potwierdził je znowu dr. Dobrjańskij, bo gdy kreślił genezę ruchu i mówił o narodowcach, to łajano ich, szczególniej Barwińskiego i Romańczuka, jako odstępców i zdrajców.

Referent dr. Dobrjańskij nazwał szczerych Rusinów wyraźnie odstępcami za to, że ogłosili program narodowy, że wyrzekli się tendencyj moskalofilskich i nakoniec, że ogłosili to publicznie. Gdy referent cytował pierwszy punkt owego programu, aranżerowie zrobili z sali obrad karczmę pijanej fanatyzmem carosławnym tłuszczy. Słowa tego punktu opiewały:

„Jesteśmy narodem samodzielnym, odrębnym od polskiego i rosyjskiego“.

Gromada aranżerów i agitatorów huknęła na to: „Nieprawda! my naród rosyjski!“

Teraz czas był zamanifestować lojalność, ale ks. Pawlikow milczał teraz, i słodki p. Didyckij milczał a dr. Dobrjańskij zatwierdził wybuch owych po karczemnemu objawionych uczuć dla matuszki, następującem oświadczeniem:

„Nie można stawić punktu o odrębności narodu, bo to tylko drażni; a zresztą o tem rozstrzygać powinni tylko historycy i uczeni“.

Jak świat światem, nawet narody w istocie pastusze, narody z biednych rybaków złożone (jak świadczy wyzwolenie Niederlandów) nie szukały rozstrzygnięcia o swoim indywidualizmie w księgach i rozprawach akademików.

Naród jest, albo go nie ma. Jest, gdy cierpi, wie o swojem cierpieniu, swoją przeszłość miłuje, swój język ojczysty przechował, w nim złożył skarby swej miłości i swojej wiary w przyszłość.

Jeżeliby coś podobnego rzekł nie pan Dobrjańskij dla zamaskowania swoich tendencyj, to należałoby raczej zwołać komisyę psychiatrów, ażeby rozstrzygała o głowie, z której wyszedł pomysł tak dziki. Ale co to szkodzi drowi Dobrjańskiemu, wszakże lud pastuchów, bez języka literaturnego, nie mógł się nad tem zastanawiać. Niestety, lud ten nie mógł zaprotestować, iż nie jest niesklasyfikowaną jeszcze kategoryą jakichś kręgowców, by zasiadali uczeni do tej klasyfikacyi.

Po wymierzeniu takiego policzka narodowi przez rzekomego dobrodzieja ludu, p. dra Dobrjańskiego, rozpoczęła się dyskusya, w której siwowłosi kapłani miotali oszczerstwa na rzeczywistych patryotów ruskich, jak Barwiński i inni. Pierwszy w te zgoła niezaszczytne szranki wystąpił ks. Krasicki krusząc kopię za referentem a przeciw językowi narodowemu. Rusin przeciw Rusi, dla tego, ażeby młodzież wychować w zamiłowaniu do języka rosyjskiego, bo inaczej twierdził, jeśli się wychowa w miłości do języka narodowego i Ukrainy, to szukać bę-

dzie ideałów w „komunie“, w „nihilizmie“ i w „carobójstwie“.

Gdyby to nie fakt, wydałoby się snem potwornym.

Po tym dobrym nauczycielu nastąpił szereg podbechtanych i obałamuconych włościan, którzy gromy sypali na narodowców, fonetykę i młodsze pokolenie duszpasterzy, którzy są także narodowcami.

Oryginalny to obraz zbałamuconego ludu, który sam przeciwko sobie mówił, a uchwalał, co mu kazano. Nie obyło się i bez komicznych epizodów. Wielu bowiem uprzykrzyły się te bałamuctwa i oszczerstwa, zaczęli więc sobie głośno podśpiewywać. Wszystko tedy było, brakło jeno prawdy, a gdy, jedyny człowiek, nauczyciel ludowy Dmyterko odważył się wystąpić w obronie prawdy i narodowców, powstał niezmierny lament, krzyk, łajanie, spychanie z trybuny — aż w końcu ks. Pawlikow odebrał głos niebezpiecznemu człowiekowi, bo chciał wyjaśnić prawdziwą sytuacyę ludowi. Lud wprawdzie protestował, ale uporczywszych wytrącali agenci moskiewscy za drzwi bez ceremonii.

Cóż mówić o rezolucyach? Większość ich tego rodzaju, że albo są trudne do zrealizowania, bo moskalofile stracą wpływ stanowczo; albo też są jak w sprawach szkolnych wprost antinarodowe i żądające bezwzględnej swobody dla moskiewszczyzny.

P. dr. Dobrjańskij w swoim politycznym referacie, napisanym z kiepska po moskiewsku, obwinił Polaków, jako pierwszą przyczynę rozdwojenia w obozie ruskim. Ale ciekawsza rzecz, że obwinił dalej narodowego poetę Szewczenkę, gdyż dzieła jego, rzekł, przyjęła młodzież ruska z zapałem. „I wtedy to — mówi znowu z moskiewska — Ruś, Ukraina s t a ł a s i ę d l a n i c h i d e a ł e m i nie trzeba było wiele czasu, żeby ta młodzież stanęła w opozycyi przeciw starym patryotom“ (czyli Moskalofilom).

Dla Rosyan jest Szewczenko, uczący wolności i miłości języka ojczystego zbrodniarzem, więc i dla narzędzi moskiewskich w Galicyi jest także zbrodniarzem. Rusini narodowcy potrafią prawdopodobnie ocenić tę przysługę p. Dobrjańskiego dla Rusi i to sponiewieranie własnego poety i rodaka, który cierpiał za sprawę czystą, narodową, ale nie po to, żeby za jego spotwarzanie brali lokaje caratu ruble.

Poznał się i lud na obłudzie, a *Diło* przytacza następujące wynurzenia włościanina:

„Wyszli naprzeciw nam na dworzec kolei żelaznej panicze, którzy mówili do ludzi po naszemu, ale między sobą po moskiewsku. Cieszyli się bardzo, że dużo przyjechało ludu. Aha! pomyślałem sobie, czy nie potrzebujecie wy nas na pokaz? I tak było na prawdę“.

Zakończyć też możemy zdaniem organu narodowego Rusinów, w którym czytamy: „Nienawiść do rozwoju własnej narodowości — ta charakterystyka partyi „historycznej“ — przewijała się jak nić czerwona przez całą tkaninę wiecu, począwszy od bystrości umysłowej ks. Pawlikowa na temat wyrzekania się królestwa ukraińskiego, a skończywszy na ostatnim karczemnym okrzyku klakierów „na pohybel“ temu lub owemu Rusinowi narodowcowi, „zdrajcy“, który kocha swoją narodowość, a nie wiezie jej sprzedawać na targ do Moskwy lub Petersburga.

DO PIEŚNI.

Zstąpiłaś zwolna, o pieśni skrzydlata,
Z wyżyn, gdzie bujał duch wieszczów natchniony,
By po tem krwawem bojowisku świata
Zbierać łzy ludzkie — gorzkie uczuć plony...

Choć dawno szczęścia weselnéj korony
Minione tobie nie przyniosły lata,
O! na wyżynach były twoje trony...
A teraz życie z rozpaczą cię brata.

Ty dzisiaj smutno rozbrzmiewasz nam pieśni!
Kiedy wokoło łzy płyną boleśniej,
Kiedy ból siły żywotne pochłania...

O! kiedyż, kiedyż nad życiem zagasłem
Zabrzmisz potężnem odrodzenia hasłem,
A nad grobami — hymnem zmartwychwstania?...

Witelion.

FLIRT W POWIEŚCI.

(ESTEJA).

Pierwszy występ Estei („Kartki z życia kobiety“) powitany był salwami konkursowemi, które wyrobiły nowemu pseudonymowi w świecie literackim i wydawniczo-księgarskim wziętość i powodzenie, objawiające się zamówieniami do odcinków dziennikarskich i odbitkami książkowemi. Autorka nie omieszkała z powodzenia tego skorzystać, dawała nowych rękopismów sporo i oto mamy przed sobą trzy tomy jej obrazków i powieści, nie licząc tych, które jeszcze dotychczas w spowiciu felietonowem spoczywają.

Gdyby mi wypadło w najzwięźlejszych słowach określić, jaki nowy czynnik wniosła Esteja do naszego powieściopisarstwa, odpowiedziałbym bez wahania, że spopularyzowała u nas flirt.

Istotnie, ani spostrzegawczość, ani namiętność, ani dowcip, ani styl nie są najwybitniejszą cechą jej utworów; każdy bowiem z tych czynników ma w dzisiejszem piśmiennictwie naszem świetniejszych od Estei przedstawicieli, ale nikt dotychczas nie użył u nas tyle razy, co ona słów: flirt, flirtować, flirtowanie i flirtaż, nikt tak silnie, jak ona, nie odtworzył usposobienia, nastroju, kaprysów, tryumfów i upokorzeń „kapłanek flirtu“, nikt tak dobitnie jak ona, choć w rysach nader łagodnych, nie uwydatnił próżni wewnętrznej tak bogatych i wytwornych towarzystw, wśród których swywolny nastrój modnego flirtowania zastąpił prawdę, szczerość i głębię uczucia.

Nie chcę przez to powiedzieć, jakoby Esteja nie pojmowała i nie odczuwała wielkich, silnych namiętności, albo jakoby chciała „kapłanki flirtu“ do ideału podnosić; ale notuję tylko spostrzeżenie, iż w przedstawieniu uczuć szlachetnych, usposobień poważnych, charakterów dzielnych, jest ona nieskończenie słabszą, niż w malowaniu istot lekkomyślnych, samolubnych, wietrznych, ka-

DLACZEGO?

NOWELA.

(Dokończenie).

Dlaczego wpatrywałam się przed lustrem w młodą, ładną kobietę, której marmurowe ramiona wychylały się zalotnie z lekkiej, białej tkaniny, jakby czekając nęcącej melodyi walca... a której czarne oczy, łzami przysłonięte, ze smutkiem patrzały przed siebie, zawiedzione w pierwszej, a tak nierównej walce ze światem...

Tak było przed dwoma laty.

Teraz myślałam nad tem, żeby wznieść się wyżej... i żeby na ten świat, który mną wzgardził, popatrzeć się z góry. Ale powieki mi się zamknęły... usnęłam wśród tych rojeń...

. . . .

Rano wstałam wesoła, kilka godzin spędziłam nad wymyśleniem sposobu, któryby mi ułatwił dojście do pieniędzy, które miały mi przynieść szczęście... po długim namyśle zdecydowałam się stanowczo, nie mówiąc o tem nikomu, przebrać się po męsku — i w tym stroju zanieść młodemu uczonemu kwiaty.

Nie było innego sposobu, któryby mnie nie kompromitował... na samą myśl przebrania, gorąco mi się robiło... i jakiś wstyd ogarniał... ale majątek tak mnie nęcił... tak się do mnie uśmiechał... że nietylko to, ale stokroć większe trudności byłabym wstanie pokonać.

Męża namówiłam, żeby poszedł na partyjkę, ja miałam iść do Olgi i tam zostać na herbacie.

Jeszcze przed obiadem wybiegłam i obstalowałam wiązankę z róż i konwalij, które kazałam przynieść wieczorem.

O szóstej śliczny bukiet wręczyła mi służąca; zapatrzona w kwiaty, marzyłam o tem, co one mi przyniosą... a woń róż i konwalij przypominała mi owe kwiaty, przysłane w dzień mego ślubu i odurzała mnie prawie.

Dziwnym trafem wybrałam te same, któremi osuszałam wtenczas łzy po twarzy płynące...

Dałam się porwać wspomnieniom... a tu trzeba działać.

— Co zrobić z kucharką, żeby nie widziała mnie w przebraniu.

Zadzwoniłam na nią.

— Nie będziemy dziś na kolacyi, — rzekłam do wchodzącej — masz, kup sobie bilet do teatru, tylko idź jak najprędzej, bo ci miejsce zajmą.

Uszczęśliwiona wybiegła z pokoju; w kwadrans już jej nie było.

Zamknęłam się teraz na klucz i otworzyłam szafę z garderobą mego męża.

Jaki tu wybór zrobić — i od czego zacząć? Byłam wprawdzie wysoka, wzrostu mego męża, ale figurę kobiety czyż zdołam ukryć?...

Przebierałam długo, w końcu wyszukałam najzgrabniejszy garnitur ciemno-granatowy i... zaczęłam się ubierać...

Boże! ależ ja się nigdy nie zmieszczę!... siłą woli wstrzymałam na jedną chwilę oddech — zapięłam ostatni guzik... Ale jak się urwie?...

Nogi moje w bucikach wydały się za małe, wciągnęłam więc buty, znowu za duże.

Wdziałam męską koszulę, jakaż niemiła, twarda, (dziwią się mężczyźni, że nosić możemy sznurówki, *pour plein a vous autres*... ależ i my się dziwimy, że wytrzymać możecie w tych, jak kartony wykrochmalonych zbrojach a dla kogo to wszystko?...) Jeszcze tylko fryzura, surdut i... tualeta skończona.

Podczesałam wysoko włosy, włożyłam kapelusz, wąsiki zaakcentowałam węglem i przejrzałam się w lustrze.

pryśnych. Dodatnie jej postacie są albo ogólnikowo, albo niekonsekwentnie lub nawet nieudolnie kreślone, gdy przeciwnie postacie ujemne w dopiero co wskazanym kierunku prawie wszystkie pełne są życia, tak że w ich prawdziwość bez trudu uwierzyć można.

Zobaczmy to na kilku przykładach. Hartownym, dzielnym, szlachelnym, poświęcającącym się człowiekiem jest Tadeusz w powieści „Za oceanem". Odznacza się on energią i stanowczością za dwóch, bo za siebie i za brata Henryka, kapryśnego egoistę o artystycznych popędach. Wyrzeka się dla dobra tego tego brata swej głębokiej miłości do Lorci, pracuje od świtu do nocy, trzebiąc lasy dziewicze w Kanadzie, ażeby módz opłacić długi lekkomyślnego artysty, który zdobywa sobie, jako rzeźbiarz, ogromny rozgłos w Ameryce, a co zatem idzie ogromne dochody, ale je trwoni na przeróżne zachcianki. Jest on opatrznością dla Henryka, nie wymagając od niego nawet współczucia. Autorka chętnie obdarza Tadeusza temi przymiotami, ale ani myśli robić z niego głównej figury w swojem opowiadaniu, nie myśli opisywać szczegółowo jego trudów i zawodów w mozolnej pracy kolonisty; — byłaby to dla niej postać zanadto prozaiczna; ona woli oddać pierwszeństwo błyskotliwym talentom towarzyskim Henryka. Dla Tadeusza ma Esteja cześć, że tak powiem, obowiązkową, dla jego brata — pewien rodzaj uwielbienia, jakiem płoną dla niego serca pensyonarek, kapłanek flirtu, a nawet poważnie usposobionych dziewic. To też postać Tadeusza należy do licznej falangi papierowych tylko doskonałości, jakiemi powieściopisarze, zwłaszcza dawniejsi, zwykli byli czynić zadość wymaganiom etycznym, by módz już swobodnie oddać się malowaniu powabnych występków; postać zaś Henryka nakreślona została z zamiłowaniem, lśni żywemi barwami aż do chwili, gdy się w nim budzi prawdziwa namiętność. Wówczas pod piórem Estei przeistacza się Henryk w komunał melodramatyczny, jakich mamy w powieści naszych poddostatkiem. Nie dba już o niego autorka, szkicuje tylko główniejsze sytuacye, ażeby czemprędzej śmiercią jego, wynikłą z pojedynku amerykańskiego, zakończyć.

Podobnież rzecz się ma z postaciami kobiecemi w tej powieści. Cóż my wiemy o szlachetnej, rozumnej, pełnej ufności i wiary Lorci? Parę drobnych scenek, kilka urywków z listów i pamiętnika — oto wszystko. I w szczupłej ilości wyrazów można niewątpliwie zawrzeć wyborną charakterystykę; ale uwagę tę trudno zastosować do sposobu nakreślenia Lorci. Poznajemy ją zanadto mało, figura jej przedstawia się mglisto; więc też nie możemy się do niej przywiązać, nie możemy głęboko spółczuć jej niedoli, powstałej wskutek zawiedzenia się na Henryku. Nie mamy jej za złe, że się na małej wartości moralnej artysty nie poznała, boć nieraz istotnie rozumne kobiety dają się porwać blaskom zewnętrznym; ale wydaje się nam ona obdarzoną zbyt chłodnym temperamentem, ażeby naprawdę długo cierpiała z powodu omyłki serca, cierpi ona raczej z powodu poznania omyłki rozsądku, a takie cierpienia, lubo dotkliwe na razie, nie zwykły pociągać za sobą długotrwałych skutków. Jakoż w parę lat po śmierci Henryka widzimy Lorcię zadowoloną i szczęśliwą żoną Tadeusza. — A Daisy? Ta śliczna, miluchna, wesolutka, szczebiotliwa Daisy jest wybornie nakreśloną figurką, dopóki znamy ją jako pensyonarkę, czy to czytającą Henrykowi na statku, czy w gronie rówieśnic rozprawiającą o przywilejach niewieścich, słowem, dopóki poważna strona życia, wywołana bankructwem matki, nie zmąciła jej lekkomyślnego spokoju, dopóki nie potrzebowała myśleć o swojem utrzymaniu. Wtedy cały urok jej pryska; odrazu ginie wesołość i rozmowność, pewność w siebie i wiara w przyszłość. Wtedy też autorka rozstaje się z nią nadługo, bo nie lubi kreślić scen smutnych i nie umie wydobyć z przejść bolesnych takiego tonu, któryby głęboko wniknął w serce czytelnika. A przeciwnie, z jakiem ożywieniem i upodobaniem opowiada nam dzieje kaprysów i fantazyi niby-to demonicznej lady Dolly! Demoniczności tu w gruncie nie ma zgoła, lecz jest kobieta bogata, pieszczona, nie trudniąca się niczem prócz zadawalniania zachcianek, jakie jej przyjdą do głowy. Podobał się jej rzeźbiarz, okazujący z początku opór pewien, więc zwróciła wszystkie siły swych wdzięków, ażeby do jego wyobraźni i zmysłów przemówić, ale namiętność w niej samej nie zagrała; zbyt jest rozsądną i zimną, ażeby się wahać w wyborze męża: piękny Henryk zostanie pokonany przez brzydkiego Rowlanda, bo jeden ma tylko talent i piękność, a drugi posiada miliony. Esteja w wielkiej obfitości przytacza rysy, charakteryzujące tę istotną bohaterkę powieści „Za oceanem," a szereg rozmów niby miłosnych, sytuacyi drastycznych, szlichtad, balów, regat, wyścigów daje wybornie poznać sferę wzobrażeń i stosunków, wśród których biegnie życie takich istot jak lady Dolly. Dlatego też z całej galeryi osób powieściowych, ta, jako najplastyczniej odtworzona, najdłużej zostaje w pamięci. (D. c. n.)

Piotr Chmielowski.

Z DZIEDZINY PEDAGOGII.

(Dwudziestopięcioletni jubileusz „Szkoły".)

W dniu 2 Stycznia r. b. wyszedł jubileuszowo-okazowy numer organu Towarzystwa pedagogicznego, tygodnika „Szkoły" — ku uczczeniu jej dwudziestopięciolecia.

Na samym wstępie spotykamy się z artykułem redakcyjnym, poczem następuje znakomita praca p. t.: „Pierwszy rok istnienia czasopisma „Szkoła", pióra Dra Zygmunta Samolewicza, który półtrzecia roku t. j od Czerwca r. 1873 do r. 1876 sam redagował „Szkołę" i na stanowisku tem położył dla pisma niemałe zasługi.

Obok tej pracy zasłużonego pedagoga i byłego redaktora „Szkoły", znajdujemy jeszcze gruntowny

---

Wyglądałam na szesnastoletniego, wcale przystojnego wyrostka, ale te biodra... te biodra...

Zapięłam surdut i już miałam wyjść, gdy jedna myśl strzeliła mi nagle do głowy.

— Trzeba jeszcze na listku róży napisać jakie słowo.

Ale jakie?

Ach, jakież inne, jak nie moje wieczne „dlaczego", które całe moje życie było dla mnie zagadką.

W jakim by to języku?...

Po polsku, za wyraźnie — po niemiecku, za trywialnie — po francusku za banalnie, po angielsku zapomniałam, ach! wiem po włosku, właśnie to jedno słówko pamiętam.

Zmaczałam pióro i, o ile mogłam najwyraźniej napisałam *„per chè"*.

„Dlaczego" — pytałam — tak brzydko postąpiłeś wtenczas ze mną?... „dlaczego" ja nie jestem szczęśliwa?... „dlaczego" na tym świecie wszystko idzie na opak?... „dlaczego" odpowiedz mi, ty mądry... ty uczony!...

Wszystko już było gotowe, teraz, trzeba się wymknąć...

Bukiet zawinęłam w różową bibułkę i wysunęłam się z pokoju.

Wszędzie było ciemno, tylko w pokoju mojej córeczki świeciła się lampka przed obrazem Matki Boskiej.

Dziecko spało w kołysce, z buzią otwartą, niańka drzemała przy nim.

Wyszłam. Ale kto za mną zamknie? — pomyślałam już za drzwiami.

Na schodach stróż na szczęście nie zaświecił lampy, odważnie więc zadzwoniłam; niańka wyglądała przez okienko we drzwiach.

— To ja, zamknij i nie oddalaj się ani na chwilę z domu.

— Niech pani będzie spokojną — odpowiedziała pokornie, gdyż mąż mój obszedł się z nią surowo po ostatniej jej wycieczce.

Zaledwie mogę się poruszać w zaciasnem ubraniu... nie mówię o surducie — ale... To nic jeszcze tutaj, ciemno, nikt mnie nie widzi, lecz co ja ze sobą pocznę, gdy wyjdę na ulicę, wpadnę w oczy ludzkie. Czyż przeżyję tę chwilę?...

Wydostaję się już na ulicę, skradając się pod mur i zasłaniając bukietem... ale co to będzie, jak już kwiaty oddam, czem ja się zasłonię?...

Od męża przy obiedzie, mówiąc o obojętnych rzeczach, dowiedziałam się dokładnie, gdzie mieszka.

Idę więc na pewno; ale jak go nie zastanę?...

Ta myśl zmroziła mnie; tyle fatygi, tyle wstydu...

Ależ może właśnie będzie w domu — uspakajam się sama.

Po drodze ludzie oglądają się za mną, czyżby mistyfikacya nie była udaną?... Może mi się tylko zdaje?...

Wszystko na świecie kończyć się zwykle musi, a więc i moja wędrówka; wchodzę do kamienicy, w sieni spotykam jakiegoś jegomościa, który mnie zapytuje.

— A dla kogo ten bukiet?...

— A co panu do tego — odpowiadam szorstko, udając gburowatość chłopaka.

— Widzisz go jaki hardy — mruknął sobie pod nosem, a ja wbiegłam na schody. Mijam pierwsze piętro, serce bije mi coraz mocniej... pulsa czuję w skroni; on mieszka na drugiem, jeszcze raz taką podróż, a potem...

Już jestem na drugiem piętrze.

Nazwisko jego czytam na bilecie, przybitym na drzwiach, opieram się o mur, żeby sił trochę zaczerpnąć... nie, nie mam odwagi zadzwonić...

Słyszę najwyraźniej kroki... ktoś bierze za klamkę.. drzwi się otwierają...

— Boże miłosierny!.. to on!

sumienny artykuł: „Kilka uwag w sprawie religijnego wychowania młodzieży szkolnej“ Bronisława Trzaskowskiego i „O pisowni i gramatyce szkolnej i o pisowni „Szkoły“ Bolesława Baranowskiego.

Artykuł, zatytułowany „Redakcya „Szkoły“ od r. 1869—1891 zapoznaje nas treściwie z działalnością ośmiu redaktorów tego pisma, charakteryzując przytem w ogólnym zarysie każdego z nich zosobna.

Widzimy więc, że treść jubileuszowego numeru „Szkoły“ bogatą jest bardzo doborem odnośnych, cennych artykułów. Numer ten przytem zdobią starannie wykonane portrety Karola Maszkowskiego i Karola Wilda, pierwszych założycieli pisma i następnie kolejno następujących po sobie jego redaktorów.

Tych, jak powyżej było wspomniałem „Szkoła“, miała ośmiu.

Pierwszym jej redaktorem i głównym inicyatorem pierwszego walnego zjazdu nauczycielskiego, był: Karol Maszkowski. Nie uważał on jednak siebie za literata, a przytem będąc bardzo zajętym w innym kierunku, zgodził się chętnie na powierzenie redakcyi pedagogowi, któryby był zarazem pisarzem z zawodu. Takim właśnie był Bronisław Trzaskowski, ktory też z r. 1869 objął redakcyę pisma. W miejsce miesięcznika zaczął wychodzić już tygodnik, poświęcony wyłącznie sprawom szkół ludowych, a nadto co miesiąc wydawano Dodatek przeznaczony dla spraw szkół średnich, który przy „Szkole“ przez parę lat wychodził.

W połowie r. 1870 nastąpiło nieporozumienie między Trzaskowskim, a prezesem Towarzystwa pedagogicznego Maszkowskim, wskutek czego nastąpiła zmiana w redakcyi. Trzaskowski przeniósł się na stanowisko dyrektora gimnazyum w Tarnowie, a kierownictwo „Szkoły“ przeszło w ręce Paulina Swięcickiego.

Nowy redaktor był osobistsścią pod każdym względem wybitną. Działalność jego była bardzo obszerną, — serce gorące, szlachetne, przyjmujące żywo udział we wszystkich sprawach, dotyczących dobra narodowego, — umysł niepospolity, obdarzony z natury wielkiemi zdolnościami. Dosyć jest przeczytać niektóre tylko z jego różnorodnych prac, ażeby się o tem gruntownie przekonać.

Żołnierz z r. 1863, Święcicki po przyjeździe do Lwowa, skierował głównie swe prace ku podniesieniu i zbliżeniu Rusinów lwowskich. Ożywił on wśród nich tak zwany ruch ukraiński, przyczynił się do dokładniejszego poznania pisarzy ukraińskich, Szewczenki, Kwitki, Wowczaka, Kulisza, Starożenki, redagował i wydawał pisma, pisywał powieści po polsku pod pseudonimem Paulina Stachurskiego i po rusku, jako „Pawło twój“ słowem pracował wiele, pracował pożytecznie.

Społeczeństwo nie umiało ocenić jego zasług tak, jak zwykle nie ocenia ludzi tych, którzy na to prawdziwie zasługują. — Zamiast poparcia okazywano mu niechęć i pojono go żółcią. Naturalnie, że usposobienie to społeczeństwa dla redaktora musiało się odbić i na samem piśmie. „Szkoła“, redagowana w opozycyjnym kierunku, wspierana przez młode siły, nie mogła się podobać. Święcicki więc ustąpił, a miejsce jego zajął spokojny, trzeźwy dr. Zygmunt Samolewicz.

Nad jego redakcyą, jak również i jego następców: Lucyana Tatomira, Bolesława Baranowskiego, Ludwika Dziedzickiego, Romualda Starkla nie będę się dłużej rozwodził, jakkolwiek działalność ich dla „Szkoły“ była ze wszechmiar pożyteczną. Nie budzi ona jednak większego zainteresowania, a przytem redagowali ją oni po większej części bardzo krótko.

Słuszność jednak nakazuje, aby powiedzieć słów parę o dzisiejszej redakcyi p. Mieczysława Baranowskiego, inspektora szkół ludowych. Pedagog con amore, duszą i sercem oddany sprawom szkolnictwa ludowego, znany jest przytem zaszczytnie ze swych prac na polu pedagogicznem. Zacny człowiek, sumienny, poważny pedagog, nie szukający rozgłosu ani też czczej, bezmyślnej reklamy, cichy, skromny pracownik na niwie pracy ojczystej — oto wyrazy, w jakich go sprawiedliwie scharakteryzować można.

Rzeczą jest bardzo naturalną, że w takich rękach pozostając „Szkoła“ podnosi się niemal z dniem każdym i wyrabia sobie stopniowo zupełnie zasłużone uznanie.

Przeciętny jednak ogół nie interesuje się nią jeszcze jak w ogóle nie interesuje się sprawami wychowawczemi w ogólności. A szkoda to nieraz niepowetowana. Czas już wielki po temu, ażebyśmy zrozumieli, że takich spraw lekceważyć nam nie wolno. Inne narody wychowują, wychowują racyonalnie w całem słowa tego znaczeniu, dlatego są potężne, w tem tkwi przewaga ich nad nami; my nie umiemy jeszcze wychowywać, zmarnowaliśmy siły, dane nam od przyrody, co gorsza marnujemy je i teraz, dlategośmy słabi i nieudolni.

Przyjdzie może jednak ta szczęśliwa chwila, że i u nas obudzi się jakiś ruch w tym kierunku, że zrozumiemy potrzebę lepszego, gruntowniejszego poznania „Nauki wychowania“. Wówczas i „Szkoła“ rozpowszechni się tak, jak na to zasługuje. Życzymy jej tego z całego serca, a przytem na ostatek dzisiejszemu jej redaktorowi wyrażamy uznanie i podziękę za jego gorliwą, pożyteczną dotychczasową pracę.

Dr. Józef Hendigery.

PIĘĆ WIECZORÓW.

STUDYUM Z NATURY

CEZAREGO JELLENTY.

Wieczór trzeci.

(Deszcz pada. Wacław i Aniela idą oboje pod rękę przez wielki plac. Po prawej stronie okazały gmach w stylu romańskim). Latarnie płoną mętnem, żółtem światłem.

Wacław (usiłując spojrzeć na prawo). A przeklęta śnieżyca. W same oczy mi sypie, jestem kompletnie ślepy. Ty przynajmniej masz przy swoim kapeluszu dach z rynną i woda ścieka ci po bokach, a mnie z czapki leje się wprost za szyję.

Aniela. Nie szczęści się nam na przechadzkach. Już po raz trzeci towarzyszy nam istny potop.

Wacław. Aha! Cóż robić? Trzeba być cierpliwym. Jeszcze dwa trzy tygodnie, a zobaczysz, jakie śliczne będą spacery! A cóż dopiero, jak drzewa puszczą pąki, a na naszej łące ruń się pokaże. Nie raduje cię ta sama myśl. (Przyciska silniej rękę jej do siebie).

W kapeluszu na głowie... miał właśnie wyjść...

Kolana łamią się podemną, ubranie co raz, co raz ciaśniejsze... może być katastrofa każdej chwili.

— Do kogo to... — pyta obojętnie, patrząc mi prosto w oczy.

— Do... do pana... — odpowiadam, trzęsąc się cała.

— Do mnie?...

Podaję mu bukiet, zdejmując przy tem kapelusz, a myślę, żeby włosy nie spłynęły mi nagle z głowy — i nie rozsypały się po ramieniu.

— Do mnie pyta zadziwiony, odwijając różową bibułkę; obraca bukiet na wszystkie strony i przygląda mu się dokładnie.

Jasność jakaś niezwykła upiększa twarz jego, oczy nabierają blasku — z dziwną lubością wpatruje się w kwiaty — i uśmiecha do nich...

— Ależ od kogoż ten bukiet? — pyta odwracając głowę, potem zapatrzony w niego szepcze...

— Konwalie i róże, dziwne... te, które ja przenoszę nad wszystkie, i które jej wtenczas...

Jeszcze jedno słowo a padnę zemdlona.

— Od kogo powtarza głośniej.

— Nie, nie mogę tego powiedzieć, — odpowiadam mdlejącym głosem.

— On zbliża się nagle do mnie, kładzie mi rękę na ramieniu, która mnie dziwnie pali... i podnosząc na mnie oczy mgliste i przejmujące — mówi prawie z uśmiechem.

— Ale mi przynajmniej powiedz kawalerze, kto o tej porze uzbierał te śliczne kwiaty?... przybliża róże do twarzy i oddycha ich wonią, przymykając oczy...

— I tego nie mogę powiedzieć — odpowiadam prawie szeptem, przyczem cofam się nieznacznie w tył, usuwając się z pod światła lampy.

Kapelusz trzymam ciągle jedną ręką nad głową, druga w pozycyi Wenus Kapitolijskiej bez zmiany... jak przykuta.

Boże! zmiłuj się nademną! Wypuść już sługę twego z pokoju! — modli się dusza moja, a młody człowiek pyta dalej, trzymając mnie jak w mękach.

— Czy i tego nie możesz powiedzieć, z którego jesteś zakładu ogrodniczego?

— Nie, nie mogę — odpowiadam, a czuję, że ostatnie siły już mnie opuszczają — wirować zaczyna mi w głowie, a krew falami wpływa pod czaszkę.

— I to ci zabroniono — mówi i patrzy na kwiaty z coraz większem zajęciem — a jakiś błysk w oczach w połączeniu z uśmiechem, który rozjaśnił twarz jego, zaczynają mnie drażnić...

Widzę to najdokładniej, bo stoi pod lampą, która mu rzuca światło w oczy.

Czyżby?...

Ale w tej chwili oczy jego zatrzymują się znów na mnie, strach płoszy inne myśli... prawie, że drętwieję... gdyby tak mnie poznał?...

Zdaje mi się, że wzrok jego studyuje mnie dokładnie... że się zatrzymuje na piątym guziku... pot zimny kroplami występuje mi na czoło — ach, żeby choć ziemia zapadła się podemną! Zapominam w tej chwili o szczęściu, po które przyszłam, o pieniądzach, które mnie aż tu... przyprowadziły — i tylko chcę zniknąć w tej chwili z przed jego oczów, które mnie palą jak żar... płomieniem oblewają całą...

A młody uczony głęboko się zamyśla — potem jak senny wsuwa się do swego mieszkania, ja już chcę umykać... gdy on nagle powraca.

— Kawalerze, proszę, — mówi i wsuwa mi w rękę kilka srebrnych pieniążków.

Zdaje mi się równocześnie, że spostrzegam uśmiech sarkastyczny, że czuję spojrzenie dziwnie mnie przygniatające... przyczem

Aniela. Pytasz jeszcze? Naturalnie! No, ale toś się zmęczył dopiero! Sapiesz jak miech kowalski.

Wacław. Kto? ja? Co ci do głowy przyszło!

Aniela. Przecież aż ręka moja uczuła pracę twych płuc...

Wacław. Ha! być może, ale daję ci słowo, że nie jestem bynajmniej zziajany... (Przez parę chwil milczą).

Aniela. Boże mój, Boże! A co się stało z naszemi pogadankami. Myślałam, że wrócę do domu z głową przynajmniej o połowę cięższą, istna erudytka w rzeczach sztuki. A tymczasem... paradne (śmieje się) dowiedziałam się czegoś o Ludwiku XIV, a mój pan mistrz wykłady swe przerwał.

Wacław. Cierpliwości. Widzisz sama, że nawet z sobą swobodnie rozmawiać nie możemy, (odwraca się ku niej z uśmiechem). Jeśli tylko będziesz się dobrze sprawować, to ci opowiem jeszcze wiele, wiele ciekawych rzeczy. Poznasz jeszcze inne style, jak się z sobą wiążą, jak jeden z drugiego się rozwijał. Inaczej wszystko ci w główce się rozpełznie i rozsypie.

Aniela. Gotowam dopełnić tego warunku, ale co ty nazywasz „dobrem sprawowaniem" — objaśnij mię bliżej.

Wacław. No, jeżeli np. nie będziesz już pisała i mówiła takich... bzdurstw, jak wczorajsze. Ha? było to ładnie z twojej strony? Czy ja zasłużyłem na podobną szorstkość i takie trywjalne upomnienie? „Panie Wacławie — otworzyłeś mi oczy — między nami wszystko skończone!" Niech się panienka wytłómaczy z tego.

Aniela. Oh, daj mi pokój! kiedyindziej; teraz nie mam ochoty.

Wacław. A, tak, tak, rozumiem cię wybornie. Spostrzegłaś, że ci się języczek pośliznął, a nie chcesz się do tego przyznać. Chcesz więc zyskać na czasie, by wynaleźć jakiś sofizmat.

Aniela. O, mylisz się grubo. Ale jeśli już chcesz koniecznie, to ci powiem szczerze, że wszystko to nie ma sensu za grosz. Co to za nowa zabawa? Po co mam ukrywać, że szał mię dla ciebie żaden nie ogarnął...

Wacław. O, moja droga, któż mówił o szale? Toć wiem, że nigdy do ciebie szczęścia szczególnego nie miałem. Pamiętasz przecie sama, że nigdy współzawodniczyć ze Stasiem, panem Janem i im podobnymi, o względy twe nie chciałem... Nie bierz-że wszystkiego tak poważnie, prawie dramatycznie... Ot, myślałem sobie po prostu, że odciętej od świata, skazanej na jednostajność i nudy, trochę, niewiele uczucia, może będzie miłą rozrywką i urozmaiceniem... Ludzie naszego sposobu myślenia w ogóle do wielkiej namiętności nie są zdolni, ale dlaczegoż nie zebrać sobie miłych wspomnień, estetycznych wrażeń, choćby dla samej przyszłości, kiedy zostanie tylko czcza, bezbarwna i prozaiczna jawa. Toć każdy człowiek wyższy żyje właściwie tylko dla wspomnień.

Aniela. Tak..., tak... być może, ale ja tego nie potrzebuję i nie chcę.

Wacław. Hm — więc cię przepraszam za to co się stało i... Schwamm drüber — jak mówią niemcy. Zresztą nie zawiniłem ja tak bardzo znowu. W dobijaniu się o czyjąś wzajemność jestem w ogóle do przesady ostrożny. Sądziłem więc... Sądziłem... że ci moje pocałunki tak szczególnej przykrości nie sprawiają. Ale widocznie zapomniałem, że nie jesteś zwolenniczką takich jak ja cudów urody. Przywiązywałem zbyt wielką wagę do pewnych objawów, które ty jednak w rzeczy samej, snadź za żart i trzpiotostwo uważałaś... Przecie nie dalej jak wczoraj, w pierwszej swej kartce do mnie przyznałaś się do słabości?...

Aniela. Rozumie się, że to była słabość — przyjmować uściski pod bokiem siostry, która jedynie ma do nich prawo. Pomijając inne względy, już ten sam wzgląd jej nieostrożności tłómaczy mię dostatecznie. Nie chcę być narażaną ciągle na niebezpieczeństwo. Swawolisz nierozważnie... Jakże to będzie wyglądało, gdy ona cię złapie kiedy na gorącym uczynku? Tak — potwierdzam, była to słabość — tolerować puste figle, po za któremi ostatecznie nic poważnego się nie kryło. Pozbyłam się ja illuzyj dawno.

Wacław. Anielciu! Nie zapalaj się zbytnio... Co ja myślę o wierności małżeńskiej, kiedy jej zwłaszcza grozi tylko niewinna sympatya postronna męża, pragnącego zapełnić na chwilę zabójczą pustkę serca — o tem wiesz doskonale. Jak łatwo mógłbym nadal swego niebezpieczeństwa uniknąć czy to większą ostrożnością, czy przerzedzeniem swoich pieszczot — również domyślasz się — ale wspominać o tem już zbyteczna, w obec faktu, że cię one ani grzeją ani ziębią. Anielciu, teraz na mnie kolej podziękować i rzec: Otworzyłaś mi oczy — między nami wszystko skończone... Przepraszam cię raz jeszcze, bo i za cały wczorajszy djalog.

Teraz bowiem widzę, żeś powiedziała w nim to jedynie, coś powiedzieć chciała. Ja przypuszczałem, że ty mnie podejrzewasz o jakieś wyrachowania praktyczne, o chęć pozyskania w tobie sprzymierzeńca i wdałem się niepotrzebnie w długie wywody i repliki — a ty po prostu nie chciałaś traktować na seryo moich pocałunków i do żadnej intencyi odpłacenia pięknem za nadobne nie przyznałaś się. Jestem tedy nie od dziś, lecz od wczoraj przywołany do porządku dziennego.

. . . .

(D. c. n.)

WOLNE MYŚLI.

(FEILETON).

IV.

(Kronika dwutygodniowa. — W obronie Dygasińskiego.)

(pz.) 366 dni dobiega (rok ten jest przestępnym) jak strzaskałem pióro i wylałem atrament, odrzekając się pisania wszelkich kronik, obrażony wzorem p. Liedera na spo-

---

pieniądze, które ściskam w ręku, wpijają się w moje ciało.

Nareszcie zostaję sama... wolna, mam pieniądze, dla których tyle wycierpiałam... ale dlaczego nie czuję się szczęśliwą?... Dlaczego, jakby prąd elektryczny przeszył mnie prawie całą — gdy on dotknął mej ręki...

— Czyż tak bardzo go nienawidzę?...

Chcę zbiedz prędko ze schodów, ale czegoś nie mogę — nogi mi się plączą i zimno naprzemian z gorącem przelewa mi się w żyłach.

Schodzę więc, trzymając się poręczy.

Gdy już jestem na dole i chcę wyjść na ulicę, słyszę za sobą raptowne zbieganie; odwracam prędko głowę. — Boże mój! to jeszcze on.

Zbieram wszystkie siły i wypadam na ulicę, potem do pierwszej bramy, to mnie ocaliło; przez przymknęte drzwi widzę jak on na trotuarze rozgląda się dokoła, potem rozmawia z jegomością, którego ja spotkałam idąc doń (zdaje mi się, że to stróż kamieniczny), a te słowa dochodzą aż do moich uszów:

— To się panu wielmożnemu widziało ino tak... jak i mnie z początku; on wyglądał jak przebrana dziewczyna, ale ja wiem, że to chłopiec.

O mało nie parsknęłam ze śmiechu, pomimo że serce mi biło jak u złapanego wróbla.

— Wie, że to chłopiec — no proszę... A on ogląda się jeszcze niedowierzająco na wszystkie strony, potem idzie parę kroków, staje przed bramą, za którą ja, trzęsąc się, jak liść osikowy, stoję — i mówi prawie głośno:

— Ależ te oczy... te oczy...

Naraz uderza ręką o czoło, jakby sobie coś przypomniał i przyspieszywszy kroku znika w ciemnościach ulicy.

Ja zaledwie żywa zawlekłam się do domu, drzwi mi otworzyła rozespana niańka (myśląc może, że to mój mąż idzie), w moim pokoju rozbieram się prędko, chowam wszystko na miejsce i kładę się do łóżka.

Trzęsę się jak we febrze. . . . . .

Już przeszło dziesiąta... czuję, że gorączka coraz większa mnie ogarnia... jestem tak zmęczona... tak senna... płomienie jakieś w postaci ognistych języków latają mi tuż nad głową... pokój cały się kręci... a wszystkie patrzą na mnie tak, jak on... tam, pod lampą.

Dlaczego pieniądze, które ciągle trzymam w ręku, podniecają żar w moich żyłach?...

Jego rękę czuję jeszcze na mojem ramieniu... a ten wzrok pogardliwy... gdy wręczał mi pieniądze.

Czy on przeczytał słowa, skreślone na listku róży?...

Jeżeli kiedy będę bogatą, otoczoną zbytkiem, ubraną w koronki... perły... może wtenczas jego oczy...

Co znaczą te słowa, które wymówił tam... patrząc na kwiaty ulubione... „i które jej wtenczas"—czyżby... ach! jak mi serce bije!...

Boże! co ja widzę!... stara wiedźma stoi we drzwiach, pokazuje mi jakiś numer... jak ona się śmieje bezzębnemi wargami... jaka ona straszna... Numeru nie mogę rozpoznać, bo się mieni najrozmaitszemi barwami... wysiłam cały mój wzrok... czy to jest sió... dem... ka?...

Co to znaczy?... numer się powiększa, coraz, coraz więcej... dosięga już wielkości człowieka... zaczyna się poruszać.. ramiona mu wyrastają, któremi mnie chce objąć... to on!... to on!... Krew gotuje mi się w żyłach... łuna jakaś czerwona zasłania mi wszystko... nic już teraz nie widzę... może ja już umieram?

Czuję tylko jeszcze woń róż i konwalii... Boże, mój Boże zmiłuj się nademną!...

Ktoś dzwoni... to mój mąż... czy on mnie wy... ra... tu... je? Chmurka.

łeczeństwo polskie, że mało ceniąc i uznając mój talent nie zajęło się tworzeniem jakiej milionowej (przystałbym i na krociową) fundacyi dla mnie. Nie jestem bowiem nic gorszego od jakiegoś tam tuzina głodnych dzieci, dla których wciąż się urządza jasełka, koncerty i t. d. Jasełka na moją korzyść musiałyby być urządzone odmiennie. Najprzód byłyby c. k. muzyk wojskowych dwie, lutnia, harmonia i deklamacya wiersza Liedera z ostatniego wydania, wygłoszona przez p. Zeydowskiego. Żywe obrazy: „walka konserwatora, miasta i fary o wieżę maryacką"; obraz II: „pan Or, ucinający „głowę hydrze" na placu Ducha przed nowym teatrem; obraz III. „poświęcenie pomnika Mickiewiczowskiego w roku 1999; obraz IV i ostatni „Zagłodzona czyli nie zaczepiaj szpitala." Układem żywych obrazów zająć by się musiał albo pan Niedzielski dekorator teatru, albo Munkaczy, a przedstawienie odbyć by się musiało w ujeżdżalni. Ludziska by się zabawili, ja bym się zabawił, bawić się lubię, i już z góry cieszę się na olbrzymi bal, jaki w imieniu całej Polski wydaje „Czas."

Bal to będzie aże ha! balem kłam zada się wieściom, że kraj, że naród w żałobie; nieprawda myśmy weseli, weseli mamy być z czego, bo czyż nie wolno nam myśleć w Prusiech a żyć w Rosyi. Nam wszystko wolno i „wolne myśli" snuć i rozwijać.

Nie wolną ale przemyślną myślą kieruje się p. Glikson, który raz po raz urządza doświadczenia trwałości życia ludzkiego w starym jeszcze teatrze. Bo kazać komuś siedzieć za $1^1/_2$ guldena w wąskich krzesłach, dostawianych w orkiestrze, gdzie jeśli nie skręcisz karku to zawiania na pewno dostaniesz — czyż to krok niezbyt śmiały?

Słyszałem, że p. Glikson będzie prosił policyi o pozwolenie urządzenia kilkunastu miejsc kołyszących się na żyrandolu. Stać się to ma na składkowy benefis pp: Zeydowskiego, Łomnickiego, Maluśkiewicza, Sachorka, Waleraka i Topolnickiego.

Na ostatnim „wielkim balu maskowym", gdzie tylko 12 policyantów czynnie było zajętych, na ręce podpisanego nadeszło następujące „pismo":

„My niszej podpisane wyrarzamy obóżenie spowodu artykułu w I fejletonie „wolnych myśli" jakobyśmy na elastycznym oświetleniu wystawy szukały żeru. Jest to poniekąt prawda, ale czasy cięszkie i każdy żyć musi, a jeżli chcecie nam zamknąć wystawę, to urządźcie dla nas komedye. Gdyby to jeszcze na szawkach z zlistą mieszkańców obok nazwisk umieszczać było wolno i zatrudnienie to jako tako, ale tak..."

(podpisy nieczytelne).

(P. S.) Komunikat, ogłoszony w dziennikach krakowskich przez p. Gliksona, brzmi:

Nieprawdą jest, jakobym kiedykolwiek zrzec się chciał dyktatury nad teatrem, ja bo tylko i jeszcze raz ja zaangażowałem p. Parysotównę i wszystkich debiutów użyczam.

Dzieje się to z moją wiedzą, z moją wolą, w moim interesie, tak mi Panie Boże dopomóż i wszyscy święci autorowie. Amen!!

* *

Z Warszawy piszą nam:

„Słowo" i kilka innych pism codziennych napadają na Dygasińskiego za to, że w utworze, zaś tytułowanym; „Numer 607", a drukowanym w „Kurj. Warsz." dał „karykaturalny opis, jak powiada „Słowo", jednego z istniejących w Warszawie prywatnych zakładów naukowych" (Wojciecha Górskiego).

„Czytali go też malcy z owego zakładu", woła patetycznie wspomniany dziennik, czytali starsi uczniowie, rodzice i opiekunowie. Dla pierwszych była to arcypedagogiczna lektura, temu, chyba p. Dygasiński nie zaprzeczy. Bo istotnie, czyż może być coś bardziej pouczającego, kształcącego, umoralniającego dla ucznia klasy wstępnej, I-szej i t. d., jak widzieć ośmieszonym publicznie przełożonego, nauczycieli, pacierz odmawiany w szkole, porządek w niej przepisany itd. A jaka to pociecha dla rodziców! Jakie zadowolenie wewnętrzne z wyboru zakładu dla tych, którzy wierzą wszystkiemu co drukowane. Jaka wreszcie dzielna pomoc w prowadzeniu chłopców i urabianiu ich charakteru.

„Słowo" dodaje, że krytyka zakładów naukowych może być prowadzona z pożytkiem tylko w pismach specyalnych. Nie wiemy, czy w pismach specyalnych były artykuły, ale pamiętamy polemikę w pismach poważnych. A że rodzice, dowiedzą się, jak dzieci ich są traktowane, licho uczone i nędznie żywione za grubą opłatę — to właśnie dobrze, nieraz bowiem dzieciom nie dają wiary. Dygasiński spełnił obowiązek obywatelski, wyświetlając prawdę, wybór zaś formy jest rzeczą drobną w danym wypadku. Nie ma też w tem nic złego, że uczniowie przeczytają krytykę swych wychowawców, gorzej byłoby, gdyby niesumienne lub głupie ich postępowanie uważali za rzecz normalną, godziwą.

Dodać tu trzeba, że „ośmieszanie pacierza" jest fałszem, autor ośmiesza tylko postępowanie obecnego przy odmawianiu pacierza pedagoga."

Z naszej strony musimy nadmienić, że i jedno z krakowskich pism wytoczyło działa przeciw p. Dygasińskiemu, obdarzając go najniesłuszniej ubliżającemi epitetami.

ZE ŚWIATA DŹWIĘKÓW.

Lwów, w lutym 1892.

(Kor. „Myśli".)

Wspomnienia ubiegłego sezonu koncertowego. — Towarzystwo muzyczne. — Lutnia. — Koncert Pollaka. — Opera. — Debiuty pani Malinowskiej.

Tegoroczny sezon koncertowy nie przedstawia zbyt obfitego materyału dla sprawozdawcy, jest bowiem tak ubogim w produkcye artystyczne, jak od najdawniejszych czasów muzykalni mieszkańcy grodu naszego nie pamiętają. Nie wiadomo, czy klęski elementarne kraju i połączony z niemi brak zasobów materyalnych, czy też ogólna apatya mieszkańców pod względem kultu sztuki składają się na tak niekorzystne warunki.

Artyści zagraniczni nie spieszą do Lwowa, zrażeni w latach ubiegłych niepowodzeniem materyalnem, miejscowe towarzystwa śpiewackie widocznie upadają — nic więc dziwnego, że Lwów staje się, jakoby odcięty od świata muzykalnego i gdyby nie koncerta „na cele dobroczynne", zjawiające się od czasu do czasu, a będące istną plagą dla sprawozdawcy, który wśród powodzi dyletantyzmu napróżno szuka tam prawdziwej muzyki. — i gdyby nie niedzielne koncerta muzyk wojskowych w sali „Sokoła", mieszkańcy Lwowa zapomnieliby, że jakieś koncerty w ogóle istnieją i jeszcze bardziej odzwyczailiby się od kupowania biletów na prawdziwe uczty artystyczne.

Najważniejszym wypadkiem artystycznym tegorocznego sezonu był koncert Mozartowski Towarzystwa Muzycznego. Z uznaniem podnieść musimy zasługi niestrudzonego kierownika tej instytucyi dyr. Szwarca, który obok kultu dla muzyki nowoczesnej (koncert Wagnerowski w maju r. z.) nie zaniedbuje utrzymywać publiczności w pietyzmie dla sztuki klasycznej. Doborowy program, złożony wyłącznie z utworów nieśmiertelnego twórcy „Don Juana" wykonany był nader starannie.

Najpiękniejszą część koncertu stanowiła wspaniała symfonia C-dur, odegrana znakomicie przez zwiększoną orkiestrę Towarzystwa, jakoteż koncert fortepianowy d-moll wykonany z wytwornym smakiem artystycznym przez prof. W. Wszelaczyńskiego z towarzyszeniem orkiestry.

Towarzystwo śpiewackie „Lutnia" wystąpiło z koncertem dnia 15 Stycznia. Obok produkcyi chóru męskiego i orkiestry wojskowej, słyszeliśmy tam śpiew panny Maryi Pawlikównej, byłej primadonny opery naszej i p. Teodora Borkowskiego. Wieczór uświetnił grą swoją pianista Pollak, znany nam już z zeszłorocznych występów. Zachęcony powodzeniem, jakie sobie zyskał na koncercie „Lutni", wystąpił Pollak z własnym koncertem dnia 22 Stycznia. Jest to talent pierwszorzędny, pełen młodzieńczej werwy i twórczości. Poznaliśmy go przedewszystkiem, jako znakomitego wykonawcę utworów drobniejszych, salonowych, zwłaszcza Moszkowskiego, Raffa, Tausiga i t. p. Liszta gra również z niepospolitym blaskiem i wirtuozostwem. Najmniej zadowolniła nas sonata Beethovena, źle pojęta duchowo i traktowana zbyt sucho. Jako kompozytor przedstawił się Pollak wcale korzystnie. Nie wątpimy, że przy dalszej rzetelnej i wytrwałej pracy, młody pianista dosięgnie niebawem sławy Grünfelda, z którym ma wiele duchowego podobieństwa

Przystąpmy jednak do najważniejszej części naszego sprawozdania, a mianowicie do opery. Grono solistów obecnego sezonu operowego składają: panie, Adryanna Bussi i Jadwiga Kamillowa, panowie: Warmuth, Bernhard i Jeremin.

P. Bussi, sopranistka dramatyczna, przedstawia się wcale dobrze pod względem wokalnym i gry scenicznej. Pracą znowu i prawdziwym talentem zyskuje coraz większą sympatyę publiczności i uznanie prawdziwych znawców muzyki — p. Camillowa. Głos młodej artystki jest okrągły, miękki, posiada wiele ciepła i szlachetności. Warmuth, tenor bohaterski, reprezentujący świetną szkołę, gra efektownie. Pięknym materyałem głosowym rozporządza barytonista Bernhard, a basista Jeromin celuje wytwornym i szlachetnym sposobem śpiewania. Co do strony zewnętrznej, dyrekcya dokłada wiele starań do należytego wystawiania oper i przygotowania chórów; zwrot w tym kierunku ku lepszemu jest widoczny. Silnie się jednak daje uczuwać brak mezzosopranistki w personelu operowym.

Obok gościnnych występów pani W. Lenczewskiej, cieszących się wielkiem powodzeniem, najwięcej zajęcia budzą w ostatnich czasach debiuty pani Anny Malinowskiej, uczennicy znanej w naszem mieście nauczycielki śpiewu p. Izydory z Ostrowskich Grzybińskiej. Debiuty powiodły się nader szczęśliwie, co było zaszczytnem świadectwem, tak dla młodej artystki, jak i dla znakomitej nauczycielki, która ją do występów scenicznych przygotowała. Głos p. Malinowskiej, sięgający aż trzy kreślonego *f*, jest bardzo sympatyczny o barwie metalicznej, — intonacya czysta i umiejętna, tryl długi, prześliczny, — artystka śpiewa z uczuciem, wymawia wyraźnie, ma w głosie prawdziwie rzewne akcenty, a gdy dodamy do tego ujmującą powierzchowność, talent sceniczny i nawskroś artystyczną indywidualność śpiewaczki, wówczas przyzna każdy, że przy dalszej umiejętnej i sumiennej pracy dosięgnie wkótce dzisiejsza debiutantka wyżyn prawdziwego artyzmu. Odpowiednio do natury swej, wykonuje p. M. najlepiej partye koloraturowe, gdyż talent jej

stanowczo na tę stronę przeważa. Dotąd występowała trzy razy, jako Gilda w Rigolecie, Violetta w Traviacie i królowa w Hugonotach.

STAN. HORSZOWSKI.

TEATR.

II.

Pretensye kobiece. — „Sprawa Clemenceau", dramat w 5 aktach, Al. Dumasa i A. d'Artois. Benefis p. Żelazowskiej.

Jedna z czytelniczek „Myśli" zarzuca mi w liście, podpisanym pięknem imieniem „Aniela", zbytnią szczerość wyrażeń w krytykach teatralnych i prosi o „obwijanie rzeczy w bawełnę."

Otóż z przykrością może, ale stanowczo odmawiam uprzejmej prośbie p. Anieli, gdyż sądzę, że dziennik powinien być plastycznem odbiciem tego, co się dzieje w życiu, że ma za zadanie wskazywać na dobre i złe jego strony, a w każdym razie nie wolno pismu ubierać objawów wstrętnych i zwyrodniałych w sukienki dziewicze, dla przypodobania się pewnej liczbie przedpłacicielek.

P. Aniela była na przedstawieniu „Demona miłości" w teatrze, a więc własnemi oczyma patrzała na sceny obrzydliwe: na przewrotność salonowych nierządnic, na sutenerstwo ich eleganckich braciszków, na naiwność zwaryowanych poetów.

Widziała to, nieraz pewnie spuszczała oczy wstydliwie i wróciła do domu bez pretensyi do autora, który sztukę napisał i do dyrekcyi, która ją wystawiła.

Dlaczegoż więc nie miałoby być wolno krytykowi powtórzyć dosłownie tego, co artyści wypowiadają na scenie. Zkąd wymaganie obłudnej pruderyi i pensyonarskich niedomówień?

Tyle pod adresem p. Anieli.

* * *

Jakby na złość mej korespondentce wystawił p. Glikson: „Sprawę Clemenceau" Dumasa i d'Artois. Wprawdzie szkoda, że wystawił, ale stało się.... widocznie dyrekcya rozumuje w ten sposób, że w epoce skandalów, używania i szwindlów, najlepiej pokazywać społeczeństwu na podobnem tle osnute obrazki, jako wytwory szkoły realistycznej.

Fin de siècle. Na sztukach klasycznych — często pustki, reformatorowie skandynawscy sięgają za głęboko w duszę ludzką, a więc męczą, za to Dumas działa na zmysły, a nawet mniej (niż północni) subtelni psychologowie, jak Suderman, Hauptman i Bahr pociągają tłumy.

Że naturalizm taki, jak w „Honorze" lub „Końcu Sodomy" Sudermana, „Samotnikach" Hauptmana i t. d... znajduje wielu zwolenników — rozumiem, ale nigdy nie zrozumiem, czemu stanowi on siłę atrakcyjną w głośnej „Sprawie Clemenceau."

Jest to rzecz płytka, niesmaczna i niezdarna.

Niedźwiedzią przysługę wyrządził autorowi „Półświatka" ten, kto mu poradził przerobić powieść na utwór dramatyczny.

„Genjalny" (chyba genjalnie głupi) rzeźbiarz kocha się namiętnie w Izabelli Dobronow (u nas — moskiewce, gdzieindziej rumunce, w powieści — polce (!). Panna Iza przybywa z „maminką" do Paryża dla złapania bogatego męża, względnie kochanka.

Dziewczyna to zepsuta przez matkę i wielbicieli, dziedzicząca po rodzicielce niewiele skłonności do cnoty, a dużo do używania i błyszczenia za jakąbądź cenę. Mama, rafinowana oszustka, udaje nieszczęśliwą ofiarę, której skonfiskowano „dobra" i przyjmuje brzęczącą pociechę od zakochanego artysty.

Jak *Deus ex machina* zjawia się Sergiusz Wojnow, niby narzeczony panny, dostaje jednak odkosza, bo niema chwilowo pieniędzy. Rzeźbiarz ma spore dochody, przyszłość, jest łatwowierny i namiętnie zakochany, więc Iza oddaje mu swą rękę. Autor daje do zrozumienia widzowi, że Iza odpłaca Piotrowi Clemenceau wzajemnością, choć ta miłość zakrawa z góry na szopkę.

Jeszcze przed ślubem widzimy czułą parę razem w chwili, gdy „naiwna" jest na poły rozebraną i popisuje się znowu w dowód naiwności pełnemi kształtami ciała. Reszty dorozumie się każdy.

Iza zdradza męża dla Sergjusza (który już odebrał pieniądze) i jeszcze dla jakiegoś niewidzialnego „króla"; mąż nie spostrzega tego przez czas długi, wierząc jak dziecko, że skromne fundusze starczą „doczce" i „mamince" na tualety i brylanty, potem przypadkiem odkrywa tajemnicę, porzuca żonę, by niebawem do niej powrócić, aż wreszcie, gdy piękna Iza proponuje mu stosunek miłosny obok kilku innych — zabija „potwora."

Nowego — ani krzty: miłość warjata i wyuzdanie kokoty.

W „Sprawie Clemenceau" (takie „sprawy" liczyć można na tysiące), jest tylko jedna mała scenka, która robi silniejsze wrażenie.

To chwila śmierci starej Clemenceau. Kochająca matka wie o zdradzie Izy, pragnie ją utaić przed synem, a więc walczy prawdziwie — ale przed skonem przebacza synowej „bo i uczciwe kobiety często grzeszą."

Pani Clemenceau także zgrzeszyła — jej Piotr jest dzieckiem nieprawem. Ten moment działa na czytelnika i na widza. Po za nim — daje nam Dumas efekty, więcej lub mniej udatne. Do wybitniejszych należą: scena portretowania Izy, leżącej na kanapie w pozycyi nieprzystojnej i druga w pracowni rzeźbiarza, gdy Iza pozuje do rzeźby w lekkim stroju (na scenie warszawskiej — w trykotach).

Dramat Dumasa grano w Krakowie na benefis utalentowanej artystki pani Adeli Żelazowskiej. Szczerze mówiąc — rola to dla bohaterki naszej sceny mało odpowiednia, bo niema w niej pierwiastków „bohaterskich", a są subtelności zepsutej natury kobiecej, do odtwarzania których nadaje się bardziej p. Siennicka, (baronowa w „Demonie miłości"). Mimo to p. Żelazowska wywiązała się bardzo dobrze z zadania, umiejętnie godząc namiętność Izy z żądzą używania i błyszczenia. P. Żelazowski miał trudne zadanie, bo grał rolę Piotra Clemenceau, postać mglistą, bez żadnego psychologicznego podkładu. Trudności jednak przezwyciężył wciąż doskonalający się talent artysty, który intuicyą przeszedł autora. Rolę pani Clemenceau oddała poprawnie p. Wolska, a powinna ją była interpretować p. Hoffman. P. Solski (rezoner Ritz) zasłużył na uznanie. W mniejszych rolach odznaczyli się pp. Antoniewski, Siemaszko i p. Siennicka.

Dyrekcya wzięła sobie widocznie nasze słowa do serca, bo dekoracye były całe — w ogóle „mise en scene" była przyzwoitą.

Zaznaczam to skwapliwie, aby mnie nie posądzono o osobiste niechęci.

JÓZEF BORNSZTEIN.

POKŁOSIE LITERACKIE.

„Panowie Bracia" Kl. Junoszy.

Jedna to z najlepszych powieści Klemensa Junoszy — owi „Panowie Bracia", szkic z życia szlachty zagonowej, stanowiącej trzeci tom „Wyboru pism" tego pisarza. Jest to ten sam temat, który po Mickiewiczu już wielu pisarzy zapładniał wyobraźnię; ostatniemi laty dotknęła go i Orzeszkowa i Rodziewiczówna, z których druga na pierwszej wzorowała się bezwiednie w charakterze owego światka. Junosza, talent męzki, jędrny, który z biegiem lat, wśród pracy ciężkiej dojrzewał i dojrzał, dał nam epopeję pracy znojnej i żmudnej owych „panów braci" siermiężnych, którzy nad Bugiem i Liwcem się rozsiedli, epopeję, pozbawioną niemal zupełnie dramatycznych zawikłań, epopeję, z której wieje niemal angielski spokój i angielski humor. Im dalej wczytujesz się w powieść, tem bardziej serce lgnie ci do tych prostaków zabiegliwych, rozumnych, zacnych. Nie myślcie przecież, aby autor dał wam papierowe lalki, doskonałości książkowe, bez krwi i kości! Przeciwnie, mają ci Zacharyasze i Rafały, Piotrowie i Milczki swoje wady, wady ludzkie; są na grosz chciwi, gdyż wiedzą, że bez grosza nic nie dostaniesz i klejnot szlachecki na poniewierkę pójdzie; są do kłótni, do procesowania się, do bójek — skorzy, bo ambit mają okrutny; kieliszkiem i jedzeniem nie gardząc, często miary nie trzymają; zarozumiali są wreszcie na swoje pochodzenie i z chłopem nie będą się kumali. Lecz nie tylko dla swoich przymiotów, jeno właśnie dla wad swoich są oni tacy sympatyczni i tak człowieka za serce chwytają. Plastyczne opowiadanie, doskonałe wycieniowanie szczegółów wszystkich i szczególików, wyborne uchwycenie charakterystycznego każdej z tych postaci języka, wszystko to nader żywo uprzytomnia całe latoszyńskie życie „panów braci", których się z żalem, żalem wielkim na ostatniej kartce książki porzuca.

„Po złote runo", powieść współczesna T. J. Choińskiego. Warszawa. Nakładem T. Paprockiego i Sp.

Bohater powieści: Stanisław Radziejowski ma niewątpliwie dużo cech pokrewnych Płoszowskiemu („Bez dogmatu") i hr. Augustowi. („Hr August") Mańkowskiego. Sceptyk, wielce nerwowy, niezdecydowany — typ młodzieńca „fin de siècle". Z tytułu łatwo się domyśleć, że Radziejowski szuka złotego runa, t. j. posagu. Ten uspokaja jego wzburzone nerwy, mędrkującego bardzo niesmacznie filozofa przeistacza w zwykłego filistra. Żona dobra i uczciwa wywiera na Radziejowskiego wpływ duży, umoralnia go duchowo poniekąd. Powieść p. Choińskiego napisaną jest językiem barwnym i dlatego czyta się z zajęciem. Wycieczki przeciw wiedzy nowożytnej, pełne patosu, obniżają wartość książki, nadając jej niesympatyczny koloryt.

„Słońce" Z. Niedźwieckiego.

Nasza czytająca publiczność dość rzadko spotyka się z nawiskiem Zygmunta Niedźwieckiego, współpracownika „N. Reformy", który od niedawna pisuje większe i drobniejsze utwory beletrystyczne. Świeżo odczytaliśmy zbiór nowel i szki-

ców młodego pisarza, ochrzczony, wedle zwyczaju, mianem pierwszego w tomie obrazka. P. Niedźwiecki zwraca odrazu na siebie uwagę, dzięki temu, że snuje swą nić powiastkową na małoalbo raczej wcale niezużytej w Galicyi kanwie naturalistycznej. Nasi noweliści i nowelistki w większej części obracają się w zaczarowanem kole miłosnych tematów, jak gdyby usiłowali nie widzieć życia takiem, jakiem ono jest w rzeczywistości, lecz pod obsłonką różowych przeważni luzyj, Niedźwiecki inaczej patrzy na życie, inaczej też je szkicuje i ztąd główna zasługa autora. W zbiorku znać duży wpływ najnowszej szkoły francuzkiej, wzorowanie się na Guy de Maupassancie, co nie osłabia jednak wartości poszczególnych prac a nawet nadaje pewną cechę świeżości książce, tak różnej od tuzinkowych zbiorników frazesów i czczych sentymentów. P. Niedźwiecki umie dość szczęśliwie podpatrywać zdarzenia życiowe i oblekać je, acz nie zawsze z jednakiem powodzeniem, w szatę nowelistyczną. Tytułowy obrazek „Słońce“ osłabiają przydługie retoryczne okraski, jedyna w tomie próba frazesowania. W następnych nowelach, jak „Posag“, „Zwierzenie“ „Pies“ i t. d., występuje prawdziwy talent autorski, samorodny, od czasu do czasu zupełnie oryginalny, dziś jeszcze nieskrystalizowany, niejednolity, lecz dobrze na przyszłość wróżący. Do najlepszych nowel p. N. zaliczamy „Posag“, gdzie autor szkicuje postać ulicznicy, zbierającej z nierządu pieniądze na wiano i „Zwierzenie“ mającej się pobrać pary, na temat grzechów młodości. Forma i styl p. Niedźwieckiego wymagają jeszcze pieczołowitej ogłady.

„MŁODZI“ W LITERATURZE SKANDYNAWSKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

W szeregu dzieł, wydanych po „Czerwonym pokoju“, poruszył Strindberg ważne i ciekawe zagadnienia filozoficznej i socyalnej natury. W „Mistrzu Olafie“, dramacie, osnutym na tle reformacyi szwedzkiej, przeciwstawia on świadomej celu, lecz ograniczonej w czasie i żądaniach swoich opozycyi — opozycyę, nie uznawającą żadnych dla siebie granic czasu ni żądań, opozycyę nigdy nie zaspokojoną, bo widzącą w każdej „prawdzie“ na dzisiaj: zarodek „kłamstwa“, na jutro; w każdem życzeniu spełniającem się dzisiaj narodziny nowej potrzeby na jutro, a za niem jeszcze dalszych i dalszych bez końca. — W „Żonie pana Bengta“ uderza Strindberg na system wychowawczy, nie pozwalający młodej kobiecie sięgnąć myślą po za granice domowego ogniska lub muru szkolnego, i trujący ją niezdrowymi wyziewami chorobliwego romantyzmu. — W „Nowem państwie“ chłoszcze niemiłosiernie blagę i obłudę już nie warstw całych, ale poszczególnych przedstawicieli panującego systemu, policzkując szyderstwem i gryzącym sarkazmem swych przeciwników za doznane od nich napaści... Książka ta, będąca właściwie dalszym ciągiem „Czerwonego pokoju“, ściągnęła na głowę Strindberga gromy oburzenia i wściekłości. Okrzyczano go zdrajcą ojczyzny i zmuszono do opuszczenia kraju. Po krótkiej tułaczce na obczyźnie, podczas której zwiedził Francyę, Niemcy, Szwajcaryę i Danię, powrócił Strindberg w r. 1884 do Sztokholmu, aby odpowiadać przed sądem za obrazę religii i moralności publicznej, której miał się dopuścić w świeżo wydanym zbiorku nowel i szkiców. W zbiorku tym, zatytułowanym „Małżeństwo“, wypowiedział Strindberg grzmiący protest przeciwko dwoistej roli kobiet, jaką społeczeństwo grać je przymusza przed i po ślubie; „przed zamążpójściem — eteryczne anioły, po zamążpójściu — klucznice.“ Występując z piorunującą wymową przeciw „emancypacyi“ z jednej, a demaskując „zgniliznę“ małżeńskiego pożycia z drugiej strony— oburzył Strindberg na siebie obie strony i w rezultacie ściągnął na się dochodzenie sądów.

Uwolniony od odpowiedzialności sądowej — rozwinął Strindberg zdwojoną energię w obronie swoich poglądów na kwestyę kobiecą. Hasłu, że „kobieta jest przedewszystkiem człowiekiem“ (Ibsen w „Norze“), przeciwstawił drugie, że „kobieta jest przedewszystkiem — kobietą“ i w spełnieniu przyrodzonych funkcyj swojej płci znaleść powinna swoje posłannictwo. Pogląd ten wypowiedział dobitnie w cyklu dramatów, traktujących o stosunku kobiety do mężczyzny, a mianowicie: w „Ojcu“, „Towarzyszach“, „Pannie Julii“ i „Wierzycielach“. Dramata te, związane z sobą wspólnością idei przewodniej i jednakowem ujęciem kwestyi ze strony psychologicznej, odznaczają się po za tem tendencyą uogólniającą i widocznem symbolizowaniem akcyi. Autor przedstawia cztery typy kobiece: Typ pięknej, zimnej, wyrachowanej i demonicznej furyi, która za upośledzenie swojej płci mści się na przedstawicielu rodu męskiego, t. j. na własnym swoim mężu, jednostce szlachetnej i inteligentnej, ale ginącej w walce z podstępem i nikczemnością kobiecą („Ojciec“); typ łamiącej pęta i burzącej zapory równouprawnienia niewiasty, która w drodze do zrównania się ze swym towarzyszem, popada w ohydną kałużę zezwierzęcenia („Towarzysze“); typ osobnika żeńskiego z gatunku zwyrodniałego i skazanego na wymarcie w obec żywiołu silniejszego i zdolniejszego do życia („Panna Julia“) i wreszcie typ przejściowy kobiety, zajmującej w pochodzie ewolucyjnym stopień pośredni między dzieckiem a mężczyzną; tabulam rasam, na której dopiero mężczyzna wypisuje słowa pełne znaczenia; „wyobrażenie gruntu suchego, nieurodzajnego, który wszystko pochłania, a nic w zamian nie daje“ („Wierzyciele“).

Walka kobiety z mężczyzną, będąca jądrem treści wymienionych dramatów, jest walką nie dwóch poszczególnych indywiduów, ale dwóch z natury sobie wrogich płci, których najstraszniejszą i najskuteczniejszą bronią jest — miłość. Po za tem występuje w tendencyi całego cyklu bardzo silnie wpływ filozofii Nietsche'go, według którego „kobieta a płytkość, to jedno.“ Wspólna zaś niemieckiemu i szwedzkiemu pisarzowi teorya: wyższości osobnika umysłowo rozwiniętego nad ciemną i nieokrzesaną masę — użycza całej twórczości Strindberga szczególnego tła i zabarwienia. Pomimo też całej sympatyi, z jaką się Strindberg do socyalizmu nowoczesnego i jego postulatów odnosi — nie podobna mu przyznać nazwy „socyalisty“, do której się zresztą pochopnie i często przyznaje. „Misogynizm“ i „Nietschenianizm“, którym tchną wszystkie utwory Strindberga (zwłaszcza ostatnie, jak: „Tschandala“ i „Na pełnem morzu“) — są wystarczającym na to dowodem*).

* Oprócz rozebranych powyżej utworów Strindberga wymienić jeszcze należy dwie powieści osnute, na tle życia ludu szwedzkiego pod tyt: „Lud z Homse“ i „Mieszkańcy dolin.“

Z trójcy krajów skandynawskich najwybitniejsze dotąd w dziejach literatury miejsce zajmowała Norwegia, ojczyzna dwóch wielkich, europejskiej sławy pisarzy: Henryka Ibsena i Björnsona. Ibsen i Björnson umieli dziełami swemi, tak wybitnie odróżniającemi się od utworów reszty pisarzy europejskich — zainteresować i poruszyć cały świat inteligentny do bliższego zaznajomienia się z literaturą skandynawską, dotąd w ogólnym bilansie cywilizacyjnym pomijaną niemal zupełnie; umieli jednak również zmonopolizować dla siebie całkowite uznanie europejskiego ogółu z krzywdą dla całego zastępu utalentowanych i wybitnych pisarzy, którzy obecnie z trudem dobijać się muszą swojej cząstki sławy, zagarniętej przez obu koryfeuszów literatury norweskiej. Jeżeli jednak gdzie, to w własnym obu poetów kraju, w Norwegii żywy przeciwko ich wszechwładztwu podnosi się protest: „Wielcy prorocy północy zeszli na manowce błędnej nauki“ (Hansson) z tem hasłem prze się naprzód falanga „młodych“ wysuwając na czele ruchu umysłowego i duchowego swego przywódzcę — Arne Garborga.

(Dok. nast.)

Ignacy Suesser.

MISCELANEA.

*** „Kurj. Warsz.“ zamieszcza w fejletonie dłuższy utwór beletrystyczny, osnuty na tle krakowskiem, pt.: „Odzyskana“ pióra pp. Polnicza (M. Pawlikowskiego) i Sewera. Nazwiska autorów są dostateczną rekomendacyą noweli.

*** Autorka, ukrywająca się pod pseudonimem Chmurki, której nowelę drukujemy w odcinku „Myśli“ — napisała bluetkę pt.: „Zapałka“, która wkrótce graną będzie w teatrze krakowskim.

*** W „Echu teatralnem i muzycznem“ znajdujemy ciekawe studyum naszego współpracownika p. Suessera p. t.: „Ewolucya sceny nowożytnej“.

† Karol Kucz, znany pisarz, były redaktor „Kurj. Warsz.“, a następnie założyciel „Kurj. Codziennego“. Kucz urodził się w pułtuskiem w r. 1815. Redakcyę „Kurj. Warsz.“ objął w r. 1848 po Dmuszewskim, a w r. 1870 założył „Codziennego“. W Kwietniu 1873 r. obchodzono w Warszawie 25-letni jubileusz jego działalności literackiej. Na scenie grywano z powodzeniem kilka utworów dramatycznych śp. Kucza, jak „Suknię balową“, „Król dziewosłębem“.

*** W Burgu odegrano kilka dni temu nowy dramat Vossa, autora „Ewy“ pt.: „Nowe czasy“. Sztuka, osnuta na tle rozbieżności przekonań religijnych pastora i filozoficznych jego syna, doznała w Wiedniu średniego powodzenia.

* *Muzyka.*

„Cavalleria Rusticana“, głośna opera Mascagniego, zrobiła fiasco w paryskiej „Opera Comique“.

W medyolańskim teatrze „La Scala“ będzie wkrótce wystawioną nowa opera Verdiego pt.: „Falstaff“.

Młody skrzypek Maksymilian Lewinger, krakowianin, koncertował z powodzeniem w Wiedniu. Dzienniki tamtejsze odzywają się z wielkiemi pochwałami o p. L. i wróżą mu dużą przyszłość.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Józef Tarczeński.

Na stół czasem nam je dają;
Chłopi tego nie jadają.
Kaszy jakiejś ma to minę,
Jednak za niem ja nie ginę.
6. Zwykle słabej jest roboty,
Nie wytrzyma wielkiej słoty;
Składa on się nawet z krajów,
Wedle nowych obyczajów;
A najświeższej tej budowy,
Widzim model dosyć nowy,
Przez Bismarka dokonany,
A krwią polską nawet zlany.
7. W mitologii *ona* słynie;
Oko w górach, w lasach płynie.
W Narcyzie się zakochała,
Wzajemności nie doznała.
Pod Paryskim Panteonem też się chowa...
A że o niej, albo o niem jest już mowa,
Muszę wspomnieć i zaręczyć,
Choć to was już będzie męczyć,
Iż to żadnej wątpliwości nie ulega,
Że myślałem, iż huk z armat się rozlega,
Słysząc taką niespodziankę
O której tu czynię wzmiankę.
8. Jest to Renu lewe ramię,
Które płynie (ej, nie kłamię),
Aż do morza Niemieckiego,
Imienia się zrzekłszy swego.
9. Musiały to być mądre kobiety,
Kiedy posiadały te zalety,
Iż przyszłość niby odgadywały,
Chętnie i rad też swych udzielały.
10. Piękne wyroby, co na wystawie
Tutaj we Lwowie, dosyć ciekawie
Oglądaliśmy. W Anglów kraje
Nieco wysłano, gdzie, jak się zdaje,
Z upodobaniem na nie patrzano,
I płacąc złotem, chętnie je brano.
11. Tych naśladować nie radzę ja nikomu,
Bądźto u obcych, bądź też nawet w swym [domu;
Bo ich naturą jest ciągłe nadymanie,
Czego i ty pewnie nie lubisz mój panie.
Na jedno się wszakże ze mną każdy zgodzi,
Że ród tych stworzeń aż z Azyi pochodzi.

JÓZEF KROPIWNICKI.

Kto pierwszy nadeśle dobre rozwiązanie „Zagadki" — otrzyma jako nagrodę, rocznik „Myśli" wraz z dodatkiem powieściowym.

Nowa postać telefonu.

W ostatnich czasach zaprowadzono tyle zmian w budowie telefonów, zmian, które miały na celu głównie uproszczenie ich budowy i zmniejszenie wymiarów, że trudnoby już obmyślić coś dogodniejszego; niedawno np. urządzono telefon w postaci niewielkiego guzika. A jednak znalazł się ktoś pomysłowy, co umieścił telefon wraz z mikrofonem w t. zw. gruszce do dzwonka elektrycznego. Póki takowa jest zamknięta, tworzy zwykły przycisk (kontakt), który za naciśnięciem guziczka powoduje dzwonienie. Po otworzeniu zaś daje się rozłożyć na dwie części, z których jedna tworzy mikrofon-przesyłacz, druga telefon odbieracz. Aparacik jest tak urządzony, aby po otworzeniu można go było dogodnie przyłożyć do ust i do ucha jednocześnie, złożony zaś nie różni się na pozór od zwykłej gruszki przycisku. Dwa elementy suche, używane do dzwonków elektrycznych, pozwalają na przeprowadzenie rozmowy z odległości 300 metrów. Owym pomysłowym wynalazcą, jeśli go tak nazwać można, jest Henryk Serrin w Paryżu (13 Boulevard du Temple)

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. M. Goł... w Paryżu. Rzecz o Burns'ie dla nas za obszerna. O Ruskinie możemy zamieścić jeden artykuł treściwy. Korespondencyę literacko-artystyczną, obejmującą nie więcej, jak 150 wierszy — zużytkujemy. Niech Sz. Pan uwzględnia, z łaski swej, rzeczy najświeższe.

P. A. Strzel. w Kr. „Tren" do zwrotu.

P. Julii D. Z powodu nawału prac beletrystycznych — w tym kwartale nie wydrukujemy. Za słowa uznania serdeczne dzięki.

P. W. Dal... „Na popasie" zużytkujemy. Druga rzecz do zwrotu.

P. St. N. Wiersz pt.: „W studni" bardzo słaby, dlatego zamieścić go nie możemy.

Treść Numeru:

POLECONE.

Na wystawach krajowych
najwyższemi nagrodami odznaczony
ZAKŁAD
WYROBÓW OBUWIA
G. WERNERA
w Krakowie, ulica Szewska Nr. 16

poleca:

wszelkiego rodzaju **obuwie męzkie** jak i **damskie** — podług najświeższych fasonów. Zakład wyrabia również tak zw. **obuwie racyonalne,** zastosowane do wymagań hygieny. Na żądanie u skutecznia takowe podług **gipsowych odlewów** zdjętych z nogi.

☞ W powyższym Zakładzie dostać można wszelkich przyborów do konserwowania obuwia.

F. LUBAŃSKI
w Krakowie
plac Dominikański 3.



poleca

wszelkie rodzaje rękawiczek, przybory do gimnastyki i szermierki, szelki, poduszki skórzane, **ubrania jelonkowe,** bandaże i t. d., w znacznym wyborze i po przystępnych cenach.

Dra Rosa'ego Balsam życia

jest środkiem domowym łagodnie i skutecznie działającym, od przeszło lat 30 znanym, przywracającym trawienie, apetyt i usuwającym wzdęcie.

Wielka flaszka 1 złr., mała 50 ct., pocztą 20 ct. więcej.

Wszystkie części opakowania zaopatrzone prawnie deponowaną marką ochronną, uwidocznioną obok.

Poleca się również:

„Praską Uniwersalną Maść Domową"

Takowa okazała się po wielu doświadczeniach jako skuteczny środek przy czyszczeniu, gojeniu bolących miejsc i działa przytem uśmierzająco i rozwalniająco.

W dozach po 35 i 25 ct., pocztą 6 ct. więcej.

Wszystkie części opakowania zaopatrzone prawnie deponowaną marką ochronną, uwidocznioną obok.

Skład główny:

B. FRAGNER, PRAG
Nr. 203-204, Kleinseite, apt. pod czarnym orłem.
Przesyłka pocztowa codziennie.

WIELKI WYBÓR BIŻUTERYJ
z prawdziwych kamieni szlachetnych
moldawitów, granatów, topazów, malachitów, ametystów i t. d.
w Agencyi czeskiej F. HOFMANNA
w Krakowie, ulica Grodzka, naprzeciw Magistratu.
Wykonanie gustowne. Ceny niskie.

PIERWSZA KRAKOWSKA
FABRYKA CUKIERKÓW i CZEKOLADY
W. KONDOLEWICZA
Kraków, ulica Floryańska,

poleca

Ciasta, Czekoladę, Konserwy, Cukry, Wina itd.

Objąłem Zakład Dentystyczny
☞ po ś. p. Docencie K. Goeblu ☜
w Krakowie, przy Placu WW. Świętych Nr. 10, 1. piętro.

Oddział techniczny zostaje pod kierunkiem p. **LEMPARTA,** długoletniego zastępcy ś. p. Docenta K. Goebla w czasie jego słabości. Operacye wykonywa na żądanie przy znieczuleniu.

Dr. med. **Jan Starachowicz** dentysta.

Medal Ministerstwa Handlu 1887.
Medal brązowy 1872. Medal srebrny 1881. Medal srebrny 1882. Medal srebrny 1870.
ALFRED BIASION
optyk c. k. Kliniki okulistycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego
w Krakowie, Rynek Nr. 14.
Magazyn założony w r. 1801.
INSTRUMENTA OPTYCZNE, FIZYCZNE i MATEMATYCZNE.

Jako dostawca pierwszych PP. Lekarzy Okulistów w kraju oraz klinik okulistycznych, posiadam zawsze znacznie zaopatrzony skład we wszelkie możliwe przybory optyczne oraz szkła i oprawy w najlepszym gatunku, które podług recept tak zwyczajnych jako i kombinowanych, przepisywanych przez PP. Lekarzy Okulistów, jak najdokładniej i sumiennie wykonywam.

GŁÓWNY SKŁAD NA GALICYĘ OCZÓW SZTUCZNYCH LUDZKICH.
Fabryka narzędzi chirurgicznych, ortopedycznych i bandaży.
GŁÓWNY SKŁAD ŚRODKÓW OPATRUNKOWYCH i DO PIELĘGNOWANIA CHORYCH.
Ceny umiarkowane.

Gdy mi potrzeba inserować
w dziennikach lwowskich i innych krajowych jakoteż zagranicznych, to załatwiam to zawsze najtaniej przez
Centralne Biuro Ogłoszeń
Lwów, Kopernika 11.

Zaopatrzony w najświeższe wyborowe towary
MAGAZYN KONFEKCYI MĘSKIEJ
poleca
Kufry, Torby podróżne z urządzeniem i bez, Rzemyki do pledów,
oraz
WSZELKIE POTRZEBY do PODRÓŻY.
Kapelusze dla turystów od 1 złr. 50 ct. i wyżej tudzież kapelusze filcowe sztywne najnowszego fasonu od 3 do 5 złr.
PŁASZCZE GUMOWE, PLEDY i KOŁDRY do PODRÓŻY,
Kaftaniki „India gauze", Bielizna systemu Dra Jägera,
KOŁNIERZYKI i MANSZETY «CELLULOID», PARASOLE,
WYBÓR LASEK i SZPICRUT, KRAWATKI ROZMAITEGO FASONU. RĘKAWICZKI itp.
po cenach bardzo niskich.
☞ Tutki cygaretowe i przybory do palenia. ☜
Wszelkie zamówienia uskuteczniają się odwrotną pocztą.
F. A. GRIGAR w Krakowie,
Rynek L. 44, Linia A.—B.

ANTONI ROZMANIT
KRAKÓW,
Fabryka parowa Cykoryi, Surogatów kawy i Kawy figowej
w Rakowicach pod Krakowem.

Nagrodzona 2-ma srebrnemi medalami zasługi c. k. Ministerstwa handlu i rolnictwa.

Wyrabia z produktu surowego własnej plantacyi wszelkie gatunki Cykoryi sztucznej i Kawy, odznaczające się bogactwem części pożywnych. tudzież doskonałym smakiem i zapachem.

Fabryka poleca przedewszystkiem:

Surogat Kawy w pudełkach (szufladkach), Surogat Kawy w szklankach, Kawę śrótową francuską Rozmanita. Cykoryą krakowską gorzką. Kawę figową, Cykoryjową Kawę perłową (nowość) Kawę krakowską w skrzyneczkach wyborową. Kawę żołędziową.

Zalecając wyroby mojej fabryki, przewyższające zaletami wszelkie tego rodzaju produkty zagraniczne, żywię niepłonną nadzieję, że Panie Gospodynie nasze, które otaczają zawsze i wszędzie swem życzliwem poparciem przemysł krajowy, zechcą i tu być pomocnemi w popieraniu i rozpowszechnianiu wytworów moich.

☞ **Do nabycia we wszystkich handlach.** ☜

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Józef Tarczeński.